

Poznaj Świat

4

2012

Cena 9,95 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY



W numerze:
Haszczyński, Mazurek, Rosiak

str. 58

Janusz Kafarski
NEPAL

str. 70

Robert Maciąg
UZBEKISTAN

str. 110

Arkadiusz Braniewski
NOWA ZELANDIA

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 770032 614209 04



TUNEZJA • IRAN • KOSTARYKA • POLSKA • LIBIA • MAURETANIA



are you all in?

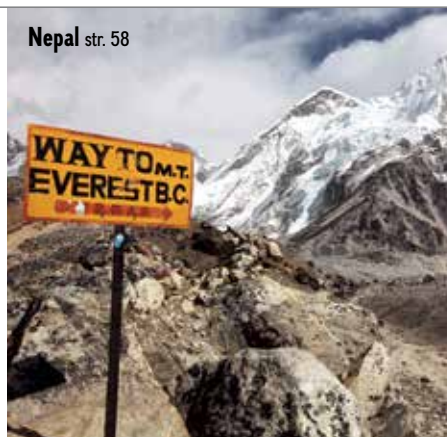
© 2012 adidas AG, adidas, the 3-Stripes logo and the 3-Stripes mark are registered trademarks of the adidas Group.

civetta, włosy – godz. 18:27

To właśnie ta chwila, która mówi wszystko.
Chimera Verticale (7c): Flo i Jakub pokonują kluczowe trudności
w ostatniej chwili, gotowi stawić czoło następnym wyzwaniom.
Daj z siebie wszystko.

adidas.com/outdoor
facebook.com/adidasoutdoor

flo and jakob in 'chimera verticale', civetta, italy @ michael.meist



FOTOFORUM **Najlepsze zdjęcia naszych Czytelników** str. 4

MÓJ BRAT OBALIŁ DYKTATORA 2 str. 12

4 stycznia 2011 roku zmarł od poparzeń wywołanych przez samopodpalenie Mohamed Bouazizi, biedny sprzedawca warzyw i owoców z tunezyjskiego Sidi Bu Zajd. **Jerzy Haszczyński**

EKWADORSKIE WIZJE str. 14

Opowieść o Oriente – prawej komorze ekwadorskiego serca. **Przemysław Kozłowski**

TAM, TAM I INNE KIERUNKI... str. 26

Felieton **Dariusza Rosiaka**

SŁODKA PERSJA str. 28

Iran jako kraj przyjazny turyście. **Jędrzej Majka**

GEOSKOP str. 36

MAŁOPOLSKA WIELKANOC str. 40

Tu świąteczna tradycja jest wciąż żywa. **Agnieszka Kantaruk**

CZYSTE ŻYCIE str. 46

Mieszkańcy Kostaryki są dumni ze swojego kraju i z tego, że dbają o środowisko naturalne. **Anna Książek**

NAVIGATOR str. 54

TAM I Z POWROTEM, CZYLI DROGA POD EVEREST str. 58

O tym, że ponad 2500 turystów z całego świata utknęło w Lukli w oczekiwaniu na wznowienie lotów, pisały w listopadzie 2011 roku serwisy prasowe na całym świecie. **Janusz Kafarski**

MAZUREK NA WYNOS str. 68

Felieton **Roberta Mazurka**

IMPERIUM Z BAWELNY str. 70

Uzbekistan to także kraj niezwykłych zabytków i życzliwych ludzi. **Robert Robb Maciąg**

BRUKSELA DA SIĘ LUBIĆ str. 76

Szara stolica biurokracji nabiera kolorów przy bliższym poznaniu. **Małgorzata Kęsicka**

REWOLUCJA W LIBII str. 82

Rok temu Libijczycy przebudzili się do buntu. **Jerzy Haszczyński, Jakub Kamiński**

NIEWOLNICY CZUWALICZKI str. 90

Qat to narkotyk, który w Jemenie zyskał status narodowej używki. **Krystyna Słomka**

Z PERSPEKTYWY str. 94

O tym, jak dowcipkują podróżnicy. **Felieton Ryszarda Badowskiego**

ŚLADY NA PIASKU str. 98

Mauretania to jedna wielka pustynia, a jednak warto tam się wybrać. **Jędrzej Czerep**

POZNAJ ŚWIAT W DELEGACJI str. 104

Rozmowa z **Jerzym Grunwaldem**

POZNAJ ŚWIAT OD KUCHNI str. 106

Redakcja podejmuje kulinarne wyzwania Czytelników.

Z WIZYTĄ U KIWI str. 110

Większość turystów omija stolicę Nowej Zelandii, tymczasem Wellington to miasto pełne atrakcji. **Arkadiusz Braniewski**

OUTDOOR str. 116

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 120



NA OKŁADCE:
Małopolskie
palmy
wielkanocne





KONKURS AKADEMII NIKONA
I MIESIĘCZNIKA POZNAJ ŚWIAT
WYRÓŻNIENIE

Zygmunt Leśniak

INDIE

Królowa w sieci

Niecodzienny wieczór w Fort Kochin. Ku zachodzącemu słońcu odpływa gigantyczny wycieczkowiec Queen Victoria, który cumował w tutejszym porcie. Za jego rufą pozostają rozpięte na drewnianych rusztowaniach sieci, używane tu od wieków do przybrzeżnego połowu ryb.



Liliana Cieszyńska

POLSKA

Dolina Kmicica

Dolina Chochołowska jest najdłuższą i największą doliną w polskich Tatrach. Unoszące się poranne mgły i pierwsze promienie słońca nadały jej baśniowy wygląd. To tutaj nakręcono słynną scenę z kuligiem do filmu „Potop”.



Wildlife
Photographer
of the Year 2011

KATEGORIA
PODWODNY ŚWIAT
WYRÓŻNIENIE

Thomas P. Peschak
(Niemcy)

KANAŁ MOZAMBICKI **Nocne rekiny**

Światło rozświetlające głębiny laguny Bassas da India, odległego atolu na Kanale Mozambickim, ukazuje zbiorowisko młodych żarłaczy galapagoskich. Reflektor znajdujący się na statku badawczym jest używany do oświetlenia rafy, tak aby nurkowie widzieli, co się dzieje. Thomas był członkiem wyprawy mającej za zadanie zbadanie wielkości populacji tego bardzo wrażliwego gatunku. *Mogąc fotografować bez użycia lamp stroboskopowych lub błyskowych – mówi – byłem w stanie oddać nocną scenerię.* Ta laguna jest jednym z niewielu miejsc, poza obszarem Oceanu Spokojnego, gdzie można spotkać żarłacza galapagoskiego. Jest jego jedynym znanym oceanicznym matecznikiem, gdzie występują ławice liczące 50 lub więcej sztuk.

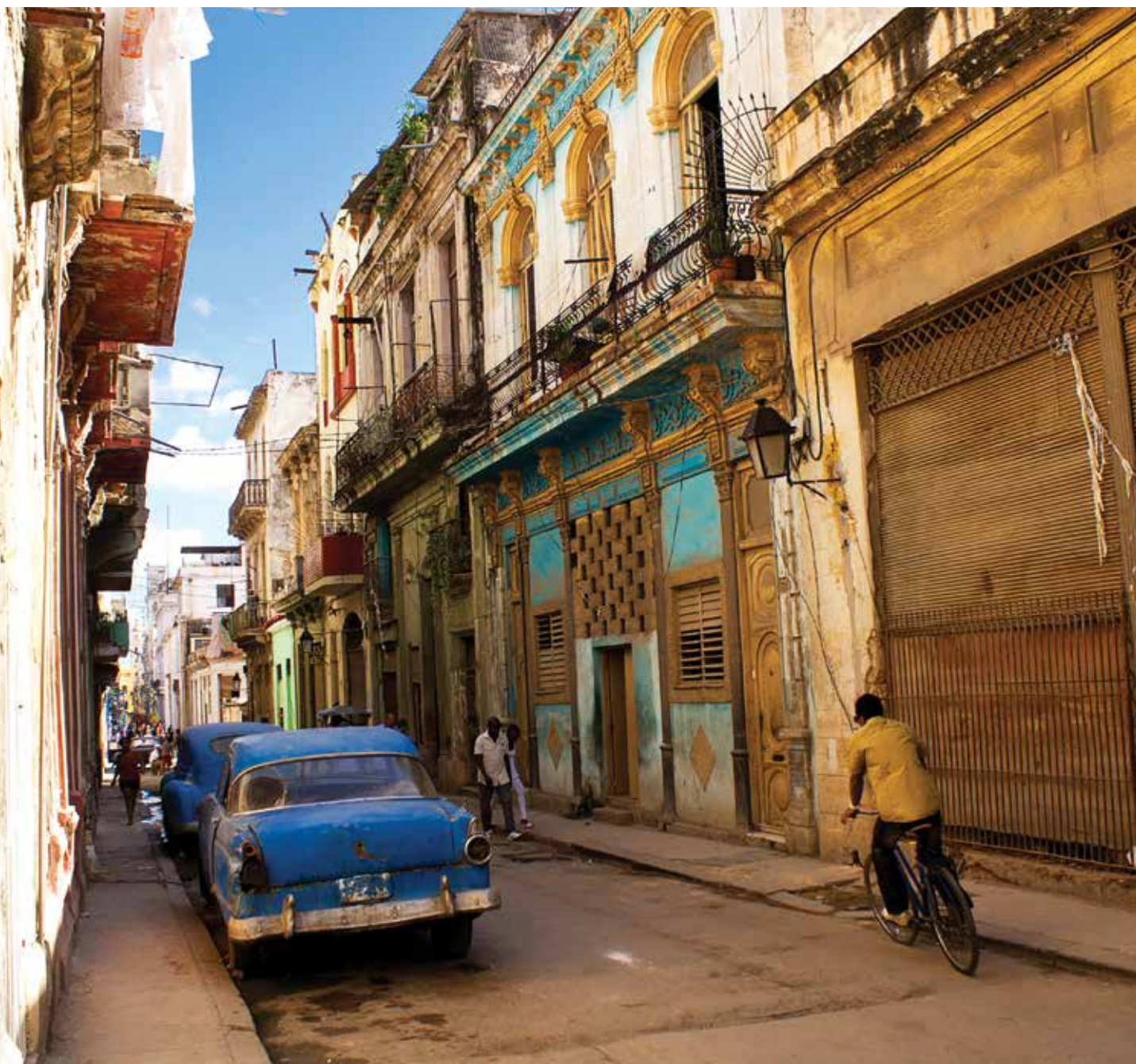
ZDJĘCIE I TEKST POCHODZI
Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ
PRZYRODY 2011, KTÓREJ PATRONEM
MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK
POZNAJ ŚWIAT.
W DNIACH 3-29 KWIECIA 2012
WYSTAWA BĘDZIE PREZENTOWANA
W GALERII BIELSKIEJ BWA
W BIELSKU-BIAŁEJ.
WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL

Luiza Stosik

KUBA

Kubańska fasada

Z roku na rok odnawiana jest coraz większa część hawańskiej starówki. Bocznym uliczkom przyjdzie jeszcze lata poczekać na odzyskanie swojego dawnego blasku.



Mirabilis znaczy wspaniały

Welwiczja przedziwna (*Welwitschia mirabilis*) nie bez powodu uważana jest za jedną z najdziwniejszych roślin na świecie. Występuje jedynie na pustyni Namib. Większa część jej pnia schowana jest pod ziemią. Roślina ma tylko dwa, sięgające nawet do 3 m długości liście, które pękają na podłużne pasy. Welwiczja nigdy ich nie zrzuca i rosą one wraz z nią nawet tysiąc lat.



Wojciech Róžański

WIELKA BRYTNIA
Patrz pod nogi!

Lodowiec tu był. Dwa miliony lat temu.

Została po nim głęboka na 15 metrów niecka, którą nazwano Stickle Tarn. W 1838 roku zbudowano u ujścia stawu tamę podnosząc poziom wody o 2 metry. Pozwoliło to zasilać wodą położony niedaleko młyn oraz kopalnię łupeków.



Przyślij zdjęcie! Na nasz adres: redakcja@poznaj-swiat.pl przysyłajcie zdjęcia w formacie jpg. W tytule piszcie FOTOFORUM. Inny sposób na przesłanie zdjęcia to wypełnienie formularza na naszej stronie: www.poznaj-swiat.pl. Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.



POLSKA

Zimowa szkoła

Niezwykle mroźna noc zapadła nad obozem Winter Camp 2012. Dla wielu uczestników zgrupowania nocleg w namiocie przy temperaturze sięgającej -20°C był próbą przetrwania. W szkoleniach lawinowych, medycznych, topograficznych, sprzętowych i biwakowych pod Turbaczem w dniach 10-12.02.2012 wzięło udział blisko 100 osób.



FOT. WINTERCAMP.PL



FOT. JERZY HASZCZYŃSKI

Mój brat obalił dyktatora

Jerzy Haszczyński

Mohamed Bouazizi, biedny sprzedawca warzyw i owoców z tunezyjskiego Sidi Bu Zajd, 4 stycznia 2011 roku zmarł od poparzeń wywołanych przez samopodpalenie. Nie upłynął miesiąc, a tunezyjski producent Tarak Ben Amar zapowiedział, że nakręci film o tym bohaterze pierwszej arabskiej rewolucji. Kilka dni wcześniej mer Paryża Bertrand Delanoë obiecał, że we francuskiej stolicy ulica czy plac dostaną imię Bouaziziego. W Sidi Bu Zajd główna ulica, przy której się podpalił, wówczas już nosiła jego imię. Teraz takich ulic są na świecie dziesiątki.

Kilka miesięcy później o Bouazizim, upokorzonym przez lokalne władze człowieka, który walcząc o godność rozpałił rewolucję, mówił Barack Obama w przemówieniu do świata arabskiego. Wspominali go i inni wielcy. O żadnym prostym muzułmaninie nie powiedziano tak dużo, tak szybko, tak dobrze. Miał naśladowców w wielu krajach

arabskich, od Mauretanii po Egipt. Ale ich nazwiska zostały szybko zapomniane. Wiosna ludów arabskich zaczęła się od Bouaziziego.

Gdy umierał, osiemnaście dni po podpaleniu się w Sidi Bu Zajd, powtarzana z ust do ust, przekazywana z komórki na komórkę, multiplikowana w internecie historia jego desperackiego czynu głosiła, że został upokorzony przez policjantkę. Nie tylko dała mu mandat, ale i spoliczkowała na oczach sprzedawców i klientów. Częścią historii były też jego pełne dojrzałości, poetyckie wpisy na Facebooku, w tym pożegnalny list do matki: „Zagubiłem się na ścieżce życia, nie kontroluję go. Wybacz mi, rozpoczynam podróż, z której nie ma powrotu”. Powtarzały to wszystko i tunezyjskie media, które po ucieczce dyktatora Ben Alego do Arabii Saudyjskiej porzuciły wychwalanie władz i przyłączyły się do tworzenia mitu męczennika rewolucji Mohameda Bouaziziego. Przyłożyłem się do tego i ja.



CZY ZWIĘCZY POMNIK?

Obwoźny stragan Mohameda Bouaziziego, bohatera tunezyjskiej rewolucji.

Ale nie było tak, jak się na początku wydawało. W tej historii w roli czarnego charakteru wystąpiła policzkująca policjantka, której nazwiska w czasie rewolucji nie wspominano. Nazwisko pojawiło się, gdy wyszła z więzienia. Fejda Hamdi spędziła za kratami cztery miesiące, wysłał ją tam Ben Ali w czasie, gdy Bouazizi powoli umierał w szpitalu. Kiedy wyszła uwolniona przez sąd z zarzutów, przedstawiła swoją wersję, najpierw prasie tunezyjskiej, w której pojawiło się jej zdjęcie w niebieskim mundurze, a potem brytyjskiemu dziennikowi „The Guardian”. Nie spoliczkowała Bouaziziego, to on ją chwycił za rękę i zranił, gdy usiłowała go zmusić do opuszczenia placu, gdzie handlował. Nie śmiałyby spoliczkować mężczyzny, to w konserwatywnym arabskim środowisku niemożliwe, mówiła, choć przecież tę wersję rozpowszechniały i znające realia media tunezyjskie. A potem poprzez wtrącenie do więzienia stała się ofiarą upadającego reżimu. I jednocześnie znenawidzoną przez naród sprawczynią śmierci męczennika. Ze strachu przed zemstą współwięźniarek ukrywała kim jest.

Nie tylko z Fejdą Hamdi było inaczej. Podobnie z poetyckimi wpisami na Facebooku. Według telewizji France 24 ich autorem był inny Mohamed Bouazizi, student. To by wyjaśniało, dlaczego z pro-

stym chłopakiem z Sidi Bu Zajd tak łatwo zidentyfikowały się tysiące studentów i absolwentów tunezyjskich uczelni. I dlaczego w ulicznym sprzedawcy warzyw i owoców widzieli absolwenta informatyki.

Mit bohatera tunezyjskiej rewolucji podważono prawie tak szybko, jak się narodził. W sierpniu reporter „New York Timesa” pisał, że zniknął nawet portret Bouaziziego z pomnika w centrum Sidi Bu Zajd, a jego rodzina zmęczona oskarżeniami o dorobienie się majątku na śmierci Mohameda przeniosła się do Tunisu.

Ale dwudziestosześcioletni Mohamed Bouazizi z Sidi Bu Zajd naprawdę się podpalił, naprawdę zmarł. Jego desperacki czyn naprawdę wywołał rewolucję, która doprowadziła do ucieczki dyktatora, a w końcu do pierwszych wolnych wyborów w Tunezji. Choć szczegóły były inne, nie tak jednoznaczne, nie tak piękne, nie tak bajkowe. – *Mój brat okazał się silniejszy od wszystkich wielkich graczy. On obalił Ben Alego* – słowa, które w styczniu usłyszałem od jego siostry Samii, mieszkającej teraz w stolicy, są nadal aktualne. Samia miała rację. Biedak z prowincjonalnego Sidi Bu Zajd pokonał obracającego miliardami dyktatora. I zapoczątkował największe od kilku dekad zmiany w Afryce Północnej. ○

Jerzy Haszczyński.

Reporter i komentator spraw międzynarodowych, szef działu zagranicznego „Rzeczpospolitej”. Laureat pierwszej edycji Nagrody Polskiej Agencji Prasowej im. Ryszarda Kapuścińskiego (2011). Właśnie ukazała się jego książka „Mój brat obalił dyktatora”. Składają się na nią reportaże z przechodzących gwałtowne zmiany krajów muzułmańskich – Tunezji, Egiptu, Libii, Jemenu, Maroka, Iranu, Turcji oraz Strefy Gazy.



Ekwadorskie wizje

Przemysław Kozłowski
TESTIGO DOCUMENTARY



Brugmansja to ozdobna roślina z rodziny psiankowatych. Jej spożycie wywołuje ośpienie, majaczenie, przyspieszoną akcję serca, biegunkę, paraliż mięśni gładkich, halucynacje i w końcu śmierć. Alberto Grefa został poczęstowany drinkiem z brugmansji w wieku dwunastu lat. Trucizną nie napoił chłopca śmiertelny wróg, lecz rodzony ojciec. Trzydzieści lat później spotykamy Alberta, gdy wraz z wiejską dzieciarnią kopie sflaczałą futbolówkę na błotnistym boisku. Ale po kolei.

U NAS „ORLIKI” A TU... – „KONDORKI”?

Jedno z tysięcy boisk piłkarskich w Ekwadorze. W całej Ameryce Południowej futbol to sport narodowy.



FOT. BEZCIEWICZAK / KOLONSKA



Czas zwiedzić prawą komorę ekwadorskiego serca – Oriente. To najdalej wysunięte na wschód rubieże amazońskiej dżungli. Stąd właśnie wyruszyła pierwsza wyprawa w dół królowej rzek. W 1541 roku gubernator Quito Gonzalo Pizarro przeszedł Andy i ruszył wzdłuż rzeki Coca w poszukiwaniu El Dorado. Kiedy skończyło się jedzenie, wyprawił z misją aprowizacyjną młodego Kastylijczyka Francisco de Orellana. Ekspedycja popłynęła w dół Río Napo. Dzięki pomocy Indian



FOT. PRZEMYSŁAW KOZŁOWSKI

zdobyli żywność, ale z powodu trudności z wiosłowaniem pod prąd, Orellana postanowił nie wracać i szukać złota na własną rękę. Tak dopłynął do wielkiej rzeki, gdzie Indianie byli już mniej przyjaźni. Płynąc wzdłuż jej brzegów, on i jego ludzie wielokrotnie walczyli z plemionami Tapuya. Orellana relacjonował później, że często atakowały ich kobiety. Nazwał je Amazonkami – od starożytnych wojowniczek opisanych w greckiej mitologii. To od nich właśnie wzięła nazwę rzeka. Możliwe jednak, że Kastylijczyk za waleczne kobiety wziął Indian noszących spódniczki z trawy. Tak czy inaczej złota nie znaleźli, ale jako pierwszy znany człowiek spłynął do ujścia Amazonki. Na jego cześć jedna z prowincji w Ekwadorze nazywa się Orellana.

CZARNE ZŁOTO, CZARNE ŚCIEKI

Postanawiamy odwiedzić rezerwat Cuyabeno. Wycieczkę wykupujemy w jednej z setek agencji w Quito. Miasto leży na wysokości 2700-2850 m i jest drugą po boliwijskiej La Paz najwyższą położoną administracyjną stolicą na świecie. Wieczory są tu bardzo chłodne, więc ubrani w ciepłe polary pakujemy się do nocnego autokaru jadącego do Lago Agrio. Gdy nad ranem uchylam okno, mam

wrażenie jakbym otworzył drzwi do sauny. Miasteczko sprawia wrażenie sennego, ale to pozory spowodowane upałem. Od lat 1960., kiedy powstało jako baza Texaco, kwitnie tu przemysł naftowy oraz, ze względu na położenie przy kolumbijskiej granicy, wszelkiej maści nielegalny biznes. Ciągną tu jak muchy do krowiego placaka przemytnicy narkotyków, partyzanci FARC, paramilitarne bojówki i prostytutki. Wydobycie ropy jest duże (25 miliardów USD zysku w ciągu pierwszych 20 lat), ale i degradacja środowiska ogromna – skażenie gleby i wód, wycinka tropikalnych lasów, choroby rdzennych mieszkańców. Koncern wylewał toksyczną, poprodukcyjną wodę i inne odpady wprost do dżungli – miliardy galonów czarnych ścieków. W 2011 roku ekwadorski sąd (po 18 latach walki) nakazał firmie Chevron (dawniej Texaco) wypłacić 18 miliardów USD odszkodowania oraz posprzątać po sobie dżunglę. Nadal trwa spór o odszkodowania dla Indian, wśród których znacznie wzrosła liczba poronień i zachorowań na raka. Chevron odrzuca zarzuty i część odpowiedzialności spycha na państwowe konsorcjum Petroecuador, które w 1993 roku całkowicie przejęło wydobycie. Za nekające Indian choroby wini brak pitnej wody, kanalizacji i opieki medycznej.

PO NOCCE

Małpa z rodziny ponocnic powszechnie występuje w lasach Ameryki Południowej i Środkowej. Zwierzęta te prowadzą nocny tryb życia i dobrze widzą w ciemności.

CZASEM SUSZA, CZASEM DESZCZ

Drzewo wyrastające z Laguna Grande w rezerwacie Cuyabeno. W porze deszczowej laguna ma 5 m głębokości, w porze suchej całkowicie wysycha.

Wraz z przewodnikiem opuszczamy miasto furgonetką. Jedziemy przez dżunglę szosą, wzdłuż której ciągnie się kilkudziesięciokilometrowy rurociąg, po drodze mijamy połacie jałowej ziemi z szymbami naftowymi. Po trzech godzinach jesteśmy na moście nad Río Cuyabeno – co w języku żyjących tu Indian Siona znaczy „rzeka dobroci”.

WCZASY Z SIERŻANTEM

Motorniczy naszej łodzi to prawdziwy mistrz kierownicy, czy raczej rumpla i manetki. Elegancko wchodzi długim, wąskim canoe w ostre zakręty rzeki, sprawnie omija konary zwalonych drzew, wy-

ży, dają nura w herbacianą toń rzeki. Jednocześnie zaczyna się ciepła, równikowa ulewa. Z krótkimi przerwami będzie padać następne dwa dni.

Różnorodność biologiczna w rezerwacie jest przeogromna. Uważa się, że jedna z największych na świecie. Rezerwat o powierzchni 6100 km² to system rzek, lagun, jezior i podmokłych tropikalnych lasów, w których naliczono około 12000 różnych gatunków roślin. Fruwa tu 550 gatunków ptaków, pływa 350 gatunków ryb. Ssaków, gadów, płazów i owadów też jest pod dostatkiem. W łazience rzuca się na K. jaskrawo ubarwiona żaba, a na belce pod sufitem siedzi tarantula wielkości męskiej dłoni. K., która ma arachnofobię, jest bliska paniki.

WODNE SĘPY

Pirania uważana jest za najgroźniejszego drapieżnika wód słodkowodnych Ameryki Południowej. Większość ryb tego gatunku żywi się padliną lub chorymi osobnikami.



FOT. PRZEMYSŁAW KOZŁOWSKI

przedza indiańskie łodzie, prując rdzawą taflę wody. Po obu stronach rzeki ciągnie się nieprzenikniona ściana zieleni, wyglądająca jak fototapeta. Z drzew zwisają długie liany, po gałęziach skaczą kapucynki. Dwie godziny później podpływamy do pomostu „Samona Lodge”. To kilka drewnianych chatek na palach krytych strzechą z palmowych liści. Szybko zrzucając plecak, ubranie i, by zmyć trudy podró-

– *Spokojnie, ta nie jest jadowita* – pociesza nasz sierżant. Tak ochrzcziliśmy przewodnika Juana, który zajmuje się naszą kilkusobową grupą.

– *Nie lubię skarg i reklamacji* – mawia i wprowadza wojskowy dryl. Ale na przyrodzie zna się dobrze i potrafi w gęstwinie wypatrzeć zwierzynek niczym Sokole Oko. Motorniczy łodzi lubi dodać gazu, a usadowiony na dziobie sierżant wielo-



FOT. PRZEMISŁAW KOZŁOWSKI

KAWAŁ GADA
 Anakonda zielona to jeden z największych węży na świecie. Osiąga wagę do 250 kilogramów. Swoje ofiary dusi, a następnie połyka w całości.

MANIOK ICH CODZIENNY

Indianka z plemienia Siona uciera maniok na placki. Bulwy tej rośliny są głównym składnikiem pożytków dla ponad 800 mln ludzi na świecie.

krotnie podnosi rękę, dając znak, by się zatrzymał. Akurat wypatrzył wśród zielonego listowia również zielonego boa psiogłowego albo wysoko w koronie drzew płochliwą saki szarą – małpę żyjącą tylko tu, w górnym dorzeczu Amazonki. Codziennie mamy różne obowiązkowe zajęcia – spacery w kaloszach po dżungli, wyprawy łodzią, łowienie piranii, które zaraz wypuszczamy do rzeki. Gdy w ciszy wiosłujemy małym canoe, udaje nam się zobaczyć słodko-

wodne, różowe delfiny lnia. A po trzech godzinach poszukiwań wokół Laguna Grande trafiamy na sześciometrowej długości anakondę, wygrzewającą się na gałęzi jednego z wyrastających z wody drzew. Teraz laguna jest głęboka na 5 metrów, ale w porze suchej będzie można na jej dnie grać w piłkę.

LIANA DUSZY

W rezerwacie żyją Indianie Siona, Secoya i Cofán. Odwiedzamy wioskę Siona, których po ekwadorskiej stronie żyje około 250, a po kolumbijskiej 300. Na błotnistym brzegu leżą wyciągnięte długie, drewniane czółna rybaków. We wsi stoi kilkanaście domów na palach. Pod chatami wiszą rybackie sieci i hamaki oraz chowają się przed deszczem kury i psy. Deszczu nie boi się Nacho, osierocona małpka z gatunku wełniaka szarego zagrożonego wyginięciem. Utoplany w błocie Nacho, widząc nowych gości, skacze na głowę Nowozelandki Sary i mocno się do niej tuli. Postęp cywilizacyjny Indian Siona widać od razu. Do jednego wysokiego pała doczepiono baterię słoneczną, do drugiego wielką antenę satelitarną. Większość chat jest kryta



FOT. PRZEMISŁAW KOZŁOWSKI



blachą. Najwięcej miejsca we wsi zajmuje boisko. Gdy kończymy pobierać lekcję pieczenia placków z manioku, przestaje padać deszcz i na boisko wychodzą dzieciaki i senior Grefa. To bardzo poważana postać, nie tylko w wiosce, ale w całej okolicy. Jest szamanem, a szamani Siona są cenieni również wśród innych plemion Amazonii za swą głęboką wiedzę o roślinach. Podziwiamy ogródek przed jego chatą, gdzie rośnie śmiertelnie trująca brugmansia oraz liana caapi, z której przyrządza się ayahuascę – halucynogeny napój o nieco słabszym działaniu. Alberto Grefa zgadza się opowiedzieć nam swoją historię. Mówi ciepłym i relaksującym głosem.

– *Mój ojciec był wielkim szamanem. Gdy miałem 12 lat postanowił sprawdzić, czy ja też nadaję się na szamana. Zabrał mnie do dżungli i piiliśmy razem wyrwar z brugmansji. Potem przyszedł po mnie wielki wojownik z ogromną maczetą i zabrał w podróż*

na inną planetę... Po dwunastogodzinnej psychodelicznej podróży, mój Alfredo musiał dokładnie opowiedzieć ojcu swoje wizje. Egzamin zdał, więc tata mógł rozpocząć edukację chłopca. Teraz Alfredo też jest wielkim szamanem. Kontaktuje się z duchami przodków, leczy chorych, wykrywa kłątwy i uroki. Do tego służy mu ayahuasca, zwana lianą duszy, którą pije wraz z pacjentem i po której widzi kolory odpowiadające różnym dolegliwościom. Niestety, coraz więcej współplemieńców wybiera miejskiego szamana w białym kitlu. Na koniec spotkania senior Grefa pyta, czy ktoś ma ochotę na profilaktyczny zabieg chłostania kłującą rośliną po gołych plecach. Zgłasza się tylko sierżant i ja. Ból jest taki, jakby mnie okładano pokrzywami i ostami jednocześnie. Ale zaraz po zabiegu, o dziwo, czuję już tylko ciepło i odprężenie! Szamanowi spodobała się moja postawa i proponuje

SPA U SZAMANA

Szaman Alberto Grefa dokonuje zabiegu relaksacyjno-profilaktycznego na plecach przewodnika Juana zwanego Sierżantem.



ayahuascę. Nie bardzo mam na to czas – przed seansem trzeba się duchowo przygotować i pościć przez 24 godziny. Zresztą, już sam pobyt w Amazonii jest dla mnie jak podróż na inną planetę.

SZAŁ ZAKUPÓW, SZAŁ ZAKŁADÓW

Czas przeznaczony na Ekwador kurczy się nam jak tsantsa w procesie obróbki. Tsantsa to głowa wroga zmniejszona do wielkości pomarańczy przez Indian Jivaro żyjących na pograniczu ekwadorsko-peruwiańskim. Robimy szybki przeskok z Oriente na Costa. Cel: byczyć się w hamaku popijając lokalny rum San Miguel, spacerować bezludną (jest

przed sezonem) plażą po ciemnym, wulkanicznym piasku przy zasnutym chmurami niebie, skakać w ciepłych przez okrągły rok falach Pacyfiku, przyglądać się pracy czarnoskórych rybaków (potomków niewolników), objadać rybami i ceviche – bezsprzecznie najlepszym ekwadorskim daniem – sałatką z krewetek. Plan udaje się nam wykonać, więc ze spokojnym sumieniem ruszamy w stronę Kolumbii. Ostatni przystanek to Otavalo, miasto słynące z jednego z największych targów w całych Andach, który od setek lat przyciąga ludzi z całego Ekwadoru. Lokalnych, uroczo nieturystycznych rynekczków, na które zjeżdżają Indianie z górskich wiosek widzieliśmy już kilka, w Latacunga, Saquisilí, Zumbahua. Asortyment wszędzie podobny



WAGA KOGUCIA

Walki kogutów są legalne w Ekwadorze dopóki ptaki nie giną na arenie. O zwycięstwie decyduje sędzia.



MERCADO
Saquisilí, jeden z wielu
andyjskich targów, na
który zjeżdżają Indianie
z okolicznych wsi.

– tłuszcikię świnki morskie na grilla, włochate lamy na wełnę, czarne prosiaki i inne zwierzaki; owoce i warzywa, ubrania z modnymi nadrukami i wszystko co potrzebne w domu i zagrodzie. Sobotni rynek w Otavalo nie ogranicza się do placu targowego, lecz rozłazi na całe śródmieście. To najlepsze miejsce na zakup pamiątek i prezentów. Barwne dywany z wełny lamy, mięciutkię szale

z alpaki, eleganckie kapelusze panama, które wcale nie pochodzą z Panamy, lecz właśnie z Ekwadoru, biżuteria z palmy, poncza, piszczałki, obrazki i inne rękodzieło. Wyśniony raj zakupowicza. Jest też oczywiście sekcja zwierzęca i owocowo-warzywna, na której odkrywam schowane za stoiskiem z bananami tajemnicze wrota.

Gdy wieczorem zwijane są już ostatnie stragany, mężczyźni z bojowymi kogutami pod pachami przeciskają się między skrzynkami owoców i znikają za owymi tajemniczymi, żelaznymi drzwiami. Odżywiane jak kulturyści i trenowane po kilka godzin dziennie, koguty są najpierw mierzone i ważone, by wystąpić we właściwej kategorii. Następnie hodowca mocuje do łap ptaka ostre, metalowe ostrogi. Naturalne zostały wcześniej usunięte, podobnie jak grzebień i dzwonki pod dziobem. Walkę poprzedzają zakłady. Można wygrać nawet



FOT. PRZEWSŁAW WIDZŁOWSKI

kilkaset dolarów. Gdy koguty zostaną na siebie pozschute i wypuszczone na pięciometrowej średnicy ring, publiczność zaprawiona pilznerami zaczyna żywiołowo dopingować. Na ringu uwija się sędzia i trenerzy, którzy przez cały pojedynek zagrzewają zawodników do boju, a gdy trzeba reanimują. Dla wielu Ekwadorczyków to sport narodowy, ale przeciwników krwawych zawodów okazało się być więcej, zwłaszcza wśród Indian, dla których to rozrywka obca, przywieziona przez konkwistadorów. W referendum w 2011 roku zdecydowano o zakazie zabijania zwierząt na arenach. Walki są legalne, dopóki zwierzęta w nich nie giną. Po 12 minutach sędzia wskazuje zwycięzcę, którego dumny hodowca obnosi wokół ringu. Cieszą się wygrani, klną przegrani, banknoty zmieniają właścicieli. Następny szal zakupów i zakładów już za tydzień. ○

www.poznajswiat.pl

MEINDL

Shoes For Actives

Granica jest tylko Twoja wyobraźnia



DIGAfix®



www.meindl.pl



Autobus z Jerozolimy do Beit She'an jedzie prawie dwie godziny przez krajobraz, który latem, gdy pagórki się zazielenią, może i jest malowniczy. Ja jadę w zimowym deszczu i mgie. W autobusie dosypia kilka osób, na chwilę budzą nas żołnierze przy wjeździe do strefy nadgranicznej. Jesteśmy kilka kilometrów od granicy z Jordanią, jedynym krajem ościennym, z którym Izrael ma dziś pokojowe stosunki. Nuda, nic się nie dzieje.



OSTATNI TAKI KIBUC

z pierwszych religijnych syjonistów XIX wieku. Przez pierwsze lata kibucowi pionierzy zmagali się z fatalnymi warunkami atmosferycznymi (Sde Eliyahu leży 200 metrów poniżej poziomu morza, zimy są tu deszczowe i mroźne, latem temperatura dochodzi do 40 stopni), malarią i atakami miejscowych Arabów. Dziś Sde Eliyahu jest żywym przykładem tego, jak Izraelczycy potrafią określić naturę i stworzyć wspólnotę.

– Sde Eliyahu to jest komuna religijna – mówi mi Mikhael, z wykształcenia filozof, w kibucu wykładawca kursów o nazwie „myśl żydowska”. – Socjalizm w czystej formie. Tylko, żeby taki socjalizm mógł działać, potrzebne są pieniądze. Duże pieniądze.

Pieniądże pochodzą z działalności rolnej i hodowlanej. Sde Eliyahu ma własne stawy rybne, pola uprawne, stodoły z 300 mlecznymi krowami i ogromną fermę kurzą. Najbardziej znane firmy Sde Eliyahu to wytwórnia przypraw ziołowych SDA Spice (wykorzystywane są wyłącznie produkty z pól należących do kibuca) oraz dwie perły w koronie, firmy przynoszące kibucowi ogromne zyski: Bio-Bee laboratorium, w którym produkuje się trzmiele do zapylania upraw szklarniowych oraz Bio-Fly – laboratorium wytwarzające specjalny rodzaj muszek, które w naturalny sposób, bez użycia pestycydów, ograniczają choroby upraw, zwłaszcza oliwek. Obie firmy mają odbiorców w całym Izraelu i eksportują swoje produkty.

– Naszą zasadą jest wykorzystywanie w uprawach i hodowli tylko tych środków, które dał nam Pan Bóg. Chemii unikamy – mówi mi Dvora, pochodząca z Francji, w kibucu od ponad 30 lat.

Oprócz tego w Sde Eliyahu jest ulpan – szkoła hebrajskiego przeznaczona dla no-

wych imigrantów oraz dla wszystkich chętnych z zewnątrz, płatna oczywiście.

Sde Eliyahu jest dziś połączeniem kapitalistycznego nowoczesnego przedsiębiorstwa rolnego, laboratorium zaawansowanych technologii i żydowskiej wspólnoty religijnej. – Jesteśmy jednym z ostatnich tego typu miejsc w Izraelu – mówi Mikhael. – Reszta kibuców zmienia się w regularne firmy produkcyjne, u nas ciągle obowiązują zasady wymyślone tutaj prawie 80 lat temu.

Każdy kibucnik dostaje na konto taką samą ilość pieniędzy, niezależnie od wykonywanej pracy. Chyba że potrzebuje więcej, wtedy dostaje pieniądze na specjalne potrzeby. Pracują wszyscy. Najwyższą władzę stanowi zgromadzenie mieszkańców (dziś żyje tu około 700 osób, ponad setka innych – Żydów i Arabów – codziennie dojeżdża z zewnątrz do pracy), oprócz tego funkcjonują komitety zarządzające konkretnymi sferami życia – kulturą, edukacją, sprawami religijnymi, budżetem.

W kibucu uczy się codziennie 1400 dzieci w kilku szkołach, od pierwszej klasy do matury – większość dojeżdża z sąsiednich kibuców religijnych. Po skończeniu szkoły średniej wielu młodych wyjeżdża na studia. Około 20 procent wraca, reszta wybiera życie poza Sde Eliyahu.

Dla mieszkańców kibuca nauka, opieka zdrowotna, opieka nad dziećmi, posiłki, utrzymanie domów, inwestycje – wszystko jest za darmo opłacane ze wspólnej kasy. Na skwerkach stoją wspólne rowery, na parkingu – samochody, które każdy może za darmo wypożyczyć na dowolny okres, zapisując się wcześniej na listę. Kibuc nie poraża luksusem – dwa najbardziej okaza-

Wysiadam tuż przed rogatekami Beit She'an. Droga odbija w prawo i kilka kilometrów dalej docieram do miejsca przeznaczenia. Sde Eliyahu jest jednym z niewielu kibuców religijnych, które do dziś funkcjonują w Izraelu, ale w Dolinie Jordanu jest aż sześć tego typu miejsc. Sde Eliyahu jest największy i najbardziej znany.

Założony w 1939 roku przez Żydów z Niemiec, nazwę zawdzięcza legendarnemu rabiemu Eliyahu Gutmacherowi, jednemu

łe budynki to jadalnia i synagoga, reszta to małe, skromne domki położone w fantastycznym parku pełnym ogrodów i okazałych drzew, poprzecinanych asfaltowymi uliczkami. Jednak mieszkańcy mają zapewnione dostatnie życie – dosłownie – od kołyski aż po grób. Pod warunkiem, że godzą się na obowiązujący tutaj styl życia.

Avram mieszka w Sde Eliyahu od ponad 60 lat. Najpierw pracował jako rolnik, dziś jest nauczycielem tradycji żydowskiej. – Czyli uczy pan zasad bycia Żydem? – pytam Avrama.

– Uczę techniki bycia Żydem religijnym.

– Waszych reguł zachowania?

– Ja nie lubię słowa reguły. To jest nasze życie, woda, w której pływamy. Bycie Żydem oznacza przede wszystkim praktykowanie pewnych czynności. Religia żydowska to jest bardziej ortopraksja, wierność praktykom religijnym, a nie ortodoksja – wierność doktrynie. Żyd religijny nie ma doktryny, ma praktyczne obowiązki. Dlatego ludzie z zewnątrz, którzy przyjeżdżają do naszego kibucu, akceptują pewien sposób zachowania, a co myślą i w co wierzą to jest ich prywatna sprawa.

– Ale wykonywanie przez gości kibucu gestów religijnych, na przykład żegnanie się przed posiłkiem już by wam przeszkadzało?

– Tak. Zwykle umowa jest taka, że w swoim pokoju każdy może robić, co chce, nie interesuje nas też, kto co myśli, w co wierzy, ale unikamy wystawiania symboli

religijnych czy okazywania gestów innych niż żydowskie na zewnątrz. Musi pan pamiętać, że Żydzi nie nawracają innych na swoją wiarę, wręcz przeciwnie – jeśli goj chciałby zostać Żydem religijnym, musi spełnić szereg bardzo konkretnych warunków, zwykle niemożliwych do spełnienia. Nie zamykamy drzwi dla tych, którzy nie chcą się nawrócić, ale też nie otwieramy ich dla tych, którzy nie są wychowani w żydowskiej tradycji.

Pytam Avrama, jak wychowywane są w kibucu dzieci. Jest tu ich około 300. – Wychowujemy je w tradycji żydowskiej. Na początku nie uczymy zasad religijnych, tylko praktyk. Dopiero potem od praktyki przechodzi się do religii. Dzieciak może z czasem zadać pytanie: dlaczego my jemy macę w Pesach, dlaczego w szabas nie wykonujemy pewnych czynności, dlaczego trąbimy w szofer? Zaczyna zadawać pytanie o sens zachowań, których go uczymy od najmłodszych lat. I potem oczywiście przychodzi moment, kiedy żydowskie dziecko, najczęściej w okolicach 15 lat, może zakwestionować to, co jego rodzice nawszadzali mu do głowy. Spora grupa młodych w Izraelu, również u nas w kibucu, odpowiada sobie: Mnie to nie interesuje. Mądrzy rodzice taki bunt akceptują, bo co mają zrobić. Nie ma potrzeby wywoływać antagonizmów, narzucać dzieciom coś, czego i tak nie przyjmą. Jednak na początku edukacji nie mamy ochoty budować w naszych dzieciach przekonania, że wszystko jedno co robisz, jak

żyjesz, w co wierzysz. Jak dorosną, to będą miały ideowy pluralizm, poznają, co będą chciały poznać. Ale w okresie wychowania chcemy, by wyrastały wyłącznie w naszej tradycji.

Pytam, jaki jest w kibucu stosunek do ludzi innej wiary, zwłaszcza katolików.

– Przyjmujemy tu młodych ludzi, uczy my ich hebrajskiego i naszej kultury – mówią mi Merev, miejscowa adwokatka. – Kultura mojego kraju mówi, że Bóg jest jeden. Nie ma trzech Bogów, nie ma trzech osób Boga, jeden jest Bóg. Jeśli ktoś chce wierzyć w Trójcę Świętą – nie ma problemu, to jest twoja prywatna sprawa. Ale jeśli chcesz przyjechać do Sde Eliyahu jako student hebrajskiego i zamieszkać wśród nas, to musisz podporządkować się naszym regułom. Tutaj są młodzi ludzie, ich charakter nie jest uformowany, łatwo ulegają wpływom, nie wiedzą czego chcą. Jeśli ja ci pozwolę np. nosić krzyż na zewnątrz i modlić się do Jezusa, to może jeden czy drugi Żyd poprosi mnie, żebym mu pozwoliła zbudować kapliczkę i modlić się do Buddy, albo do Alaha, albo do jeszcze kogoś. A tak przecież nie można.

W towarzystwie Johnny'ego, menedżera ulpanu, zjadam obiad w kibucowej jadalni, zaglądam do synagogi i już mnie nie ma. Wracam okazją do drogi na Jerozolimę, po dwóch godzinach autobus wraca do miasta, które dla wielu ludzi ciągle stanowi centrum świata. Trzymam kciuki za Sde Eliyahu i jego mieszkańców.

CENTRUM DZIEDZICTWA SZKŁA KROSNO

Od czerwca 2012 roku zapraszamy do odwiedzenia Centrum Dziedzictwa Szkła w Krośnie, a w nim:

- Galeria Krośnieńskiego Szkła
- Warsztaty szklanego rzemiosła
- Produkcja szkła na żywo
- Wystawa i pokazy „Szkło w fizyce”
- Kolekcja „Światowe marki produkowane w Krośnie”
- Kolekcja „Kamienie milowe krośnieńskich hut”
- Artyści szkła związani z Krosnem – prezentacja twórców

W naszym sklepie – wyjątkowe produkty w najlepszych cenach



www.miastoszklapl



Projekt „Centrum Dziedzictwa Szkła w Krośnie” współfinansowany przez Unię Europejską z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego

SŁODKA

Zamknięty świat islamu. Gorliwi muzułmanie krzywo patrzący na Europejczyka i kobiety w czadorach odwracające głowę na widok turysty. Przed wyjazdem problemy z wizą, a na miejscu ciągłe kontrole policyjne. Tak straszili mnie przed wyjazdem do Iranu ci, którzy tam nigdy nie byli. A tam jest zupełnie inaczej.

Jędrzej Majka

PERSJA



FOT. SHUTTERSTOCK





RUINY IMPERIUM

Persepolis zostało założone w 518 r. p.n.e. przez Dariusza I. W czasach Achemenidów miasto pełniło funkcję jednej z czterech stolic imperium perskiego.

Wyliczono, że Aleksander Wielki potrzebował dziesięć tysięcy mułów i pięć tysięcy wielbłądów, by wywieźć skarby z Persepolis. Było to w 330 roku p.n.e. Dziś aż trudno sobie wyobrazić, jak wspaniałe było to miasto. Niewiele zostało z pałaców, haremów, koszar czy skarbcza. Persepolis to jednak wciąż symbol starożytności, który trzeba zobaczyć na własne oczy. Podobnie jak opiewany przez poetów Sziraz z jego wspaniałymi ogrodami czy jedno z najstarszych miast świata – Jazd. Przyjemnością jest całodziennie włóczenie się bez celu wśród domów zbudowanych z wysuszonych glinianych cegieł i fotografowanie kołatek na drzwiach. Zazwyczaj są dwie – każda wydaje inny dźwięk, by domownicy wiedzieli, czy z wizytą przychodzi mężczyzna czy kobieta.

Do grudnia 1993 roku na liście najchętniej od-

wiedzanych miejsc na świecie znajdowało się jeszcze położone w pustynnym rejonie Iranu miasto Bam. Niestety, po silnym trzęsieniu ziemi, które nawiedziło południowo-wschodnią część kraju, miasto, a wraz z nim starożytna cytadela, zostały niemal w całości zniszczone i Bam wypadło z podróżniczego szlaku. Na brak turystów nie może natomiast narzekać dawna stolica imperium perskiego. W szesnastym wieku milionowy Isfahan był jednym z największych miast świata. Dziś jest trzecim co do wielkości miastem Iranu. Plac Imama w centralnym punkcie Isfahanu wytyczony został pięćset lat temu jako boisko do gry w polo. Szach Abbas I Wielki ustanowił tutaj stolicę imperium. Wokół placu zbudował meczety i bazar. Wszędzie widać i słyszą ludzi. Także ich modlitewne skupienie w meczetach i gwar na pobliskim bazarze.



OTOCZONY PUSTYNIĄ

Jazd to jedno z najstarszych miast świata. Jego starówka zbudowana jest w całości z suszonych na słońcu cegieł.

HERBATA NA TRAWIE

Piątek to dzień świąteczny. A ponieważ Irańczycy uwielbiają piknikować, każdy kawałek zacienionego trawnika czy pobocza są odpowiednie, by przysiąść, rozłożyć koc, wyjąć termos z herbatą i coś przekąsić. W piątki w centrum Isfahanu robi się szczególnie tłoczno. By uciec od gwaru, minąłem most Trzydziestu Trzech Arkad i postanowiłem iść wzdłuż rzeki. Z każdą godziną parki i trawniki zapełniały się dywanami, kocami, chustami. Na nich rozkładano stoły i rozpoczynała się biesiada. Niektóre były zastawione tak obficie, jakby wydawano uczyty weselne. Tu nikogo nie dziwi rozstawiony namiot i biwakująca rodzina, a to wszystko na trawniku, przy głównej ulicy miasta.

– *Hallo, hallo* – dobiegł mnie kobiecy głos. Rozejrzałem się zaskoczony i zobaczyłem grupkę kobiet siedzących na trawie. Zgodnie z nakazem hidżabu wszystkie miały na sobie czarne czadory. Od roku 1979 Iranki w ten sposób przestrzegają muzułmańskich zasad ubierania się. Obowiązuje je nakaz zakrywania włosów, uszu i szyi. Rozbawione kobiety najwyraźniej obserwowały przechodniów i plotkowały.

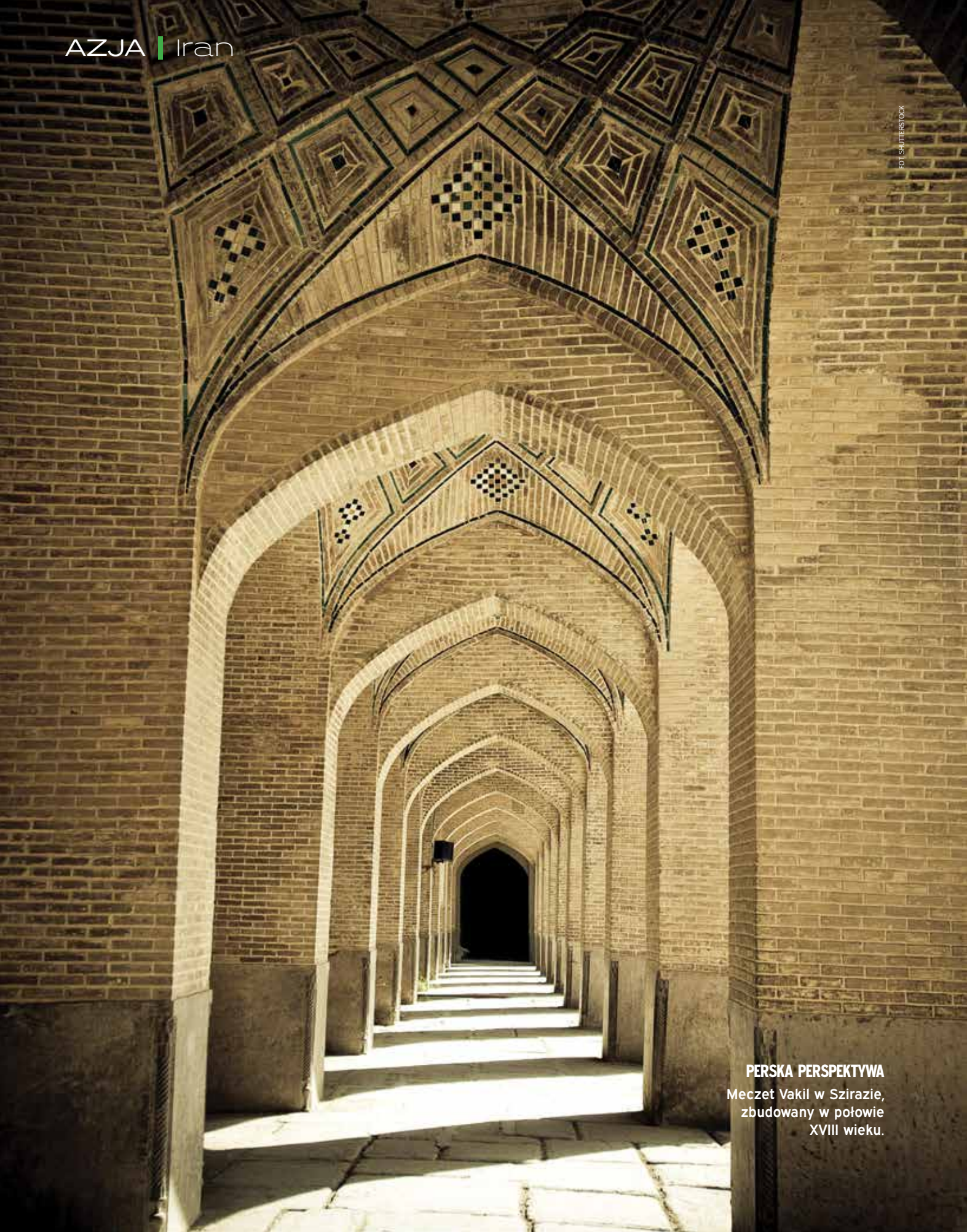
– *Czaj, Czaj* – zaproponowała jedna z nich, podnosząc w górę szklaneczkę z herbatą. Przyjąłem zaproszenie i przysiadłem się. Kobiety przesunęły

się trochę, robiąc dla mnie miejsce. Fakt, że do nich dołączyłem, wywołał niepohamowany śmiech. Jedna nalała do szklaneczki herbaty i podała mi, druga poczęstowała mnie ciastkiem pistacjowym. Trzecia wstała i gdzieś pobiegła, a po chwili wróciła i wręczyła mi kubek z faloodeh. Deser ten robi się z cieniutkiego makaronu, mączki kukurydzianej, zmielonych pistacji, wody różanej i soku z cytryny. Mało kto wie, że to właśnie Irańczycy są twórcami pierwszego mrożonego deseru.

ARCYDZIEŁO NA KOLANIE

Pracownia ceramiki w Isfahanie. Sztuka arabska słynie z bardzo misternego wzornictwa.





PERSKA PERSPEKTYWA
Meczet Vakil w Szirazie,
zbudowany w połowie
XVIII wieku.

Siedzieliśmy i uśmiecaliśmy się do siebie. By pokonać barierę kulturową, spontanicznie rozpoczęliśmy zabawę w sto pytań do... Większość z nich dotyczyła oczywiście mnie. Skąd jestem? Gdzie pracuję? Czy jestem żonaty? Czy mam dzieci? Czy podobają mi się Iranki? Każda moja odpowiedź była przyjmowana entuzjastycznie. Na koniec zrobiliśmy sobie kilka wspólnych zdjęć.

Kobiety wprowadziły mnie w dobry nastrój. Nie opuścił mnie on kilka godzin później, kiedy chciałem wejść do meczetu.

– *Jesteś muzułmaninem?* – spytał mężczyzna siedzący przed wejściem do świątyni.

– *Nie* – odpowiedziałem.

– *Wybacz, nie możesz wejść do środka. Dziś jest dzień świąteczny* – odpowiedział uprzejmie i serdecznie się uśmiechnął.

Nie tylko nie było mi przykro, ale spodobało mi się nawet to, w jaki sposób zapytał i odpowiedział.

SZKLANECZKA NA POSTERUNKU

Mniej obiecująco zapowiadała się moja wizyta na posterunku policji w Buszehrze nad Zatoką Perską. Upał był nie do wytrzymania. Temperatura na zewnątrz wynosiła pięćdziesiąt trzy stopnie Celsjusza, a wilgotność sięgała powyżej siedemdziesięciu procent. Kiedy opuściłem klimatyzowany autobus, moje ubranie w sekundę zrobiło się mokre. W hotelu starszy portier poczęstował mnie zimnym arbuzem i pokazał pokój. Następnie zaczął coś tłumaczyć. Zrozumiałem tylko jedno słowo: policja. Na kartce wyrwanej z zeszytu sporządził notatkę i przez okno wskazał palcem kierunek, gdzie mam się udać.

Buszehr położony jest w strefie przygranicznej. W pobliżu działa kontrowersyjny reaktor atomowy. Tutaj każdy hotel wymaga od turystów pozwolenia na zamieszkanie. Droższe hotele załatwiają to za gości, tańsze po prostu wysyłają ich na posterunek policji.

– *W czym mogę pomóc?* – spytał uśmiechnięty żołnierz w biurze przepustek.

– *Przychodzę z hotelu* – powiedziałem, wręczając mu kartkę.

– *Proszę usiąść i poczekać. Pierwszy raz w Buszehrze?*

– *Pierwszy* – odpowiedziałem.

– *Gorąco?* – spytał z jeszcze szerszym uśmiechem.

– *O, tak.*

Żołnierz wziął ode mnie paszport i zniknął za drzwiami. Po dwóch minutach wrócił z półtoralitrową butelką lodowatej wody i spytał, czy się napi-

ję. Tego naprawdę się nie spodziewałem. Miało być przesłuchanie, długa lista pytań, a tu taki miły gest. Po chwili dołączył do nas jeszcze jeden mężczyzna, ubrany po cywilnemu. Przywitał się, podając rękę.

– *Salam alejkum. Skąd pan przyjechał?* – spytał, uważnie przeglądając mój paszport.

– *Wa`alejkum salam. Z Polski.*

– *Jak długo zostanie pan w Buszehrze?*

– *Trzy dni.*

– *Dokąd później?*

– *Wracam do Teheranu.*

– *Witamy w Buszehrze, życzymy dobrego pobytu.*

Gdyby miał pan jakieś problemy, pomożemy.

W ten sposób mundurowi z Buszehru obalili kolejny mit, z jakim przyjechałem do Iranu.



NEDA ZNACZY WEZWANIE

Przed wyjazdem ostrzegano mnie też przed irańską ulicą. Powinienem się pilnować, z kim i o czym rozmawiam, bo każdy Irańczyk niewspółpracujący z systemem państwowym przynajmniej kilka dni spędził w areszcie. I tak dalej... Trudne zadanie. Jak nie rozmawiać z ludźmi, których cechą narodową jest uprzejmość i gościnność? Doświadczylem jej wielokrotnie, zarówno na południu – w Buszehrze, jak i na północy – w Ramsarze, w wielkiej metropolii – Teheranie i na prowincji, w okolicach Persepolis. W Sziraz spytałem mężczyznę na przystanku, czy bilety można kupić u kierowcy w autobusie. Ten natychmiast wyjął bilety z portfela i wręczył

NA STRAGANIE W ISFAHANIE

Bazarowy sprzedawca pachnących przypraw.



ULGA W UPALE

Tradycyjny irański dziedziniec hotelowy.

mi je w prezencie, informując, żebym korzystał w usług komunikacji miejskiej i omijał taksówkarzy, którzy bywają nieuczciwi wobec przyjezdnych. Z takimi gestami spotkałem się wielokrotnie. Zazwyczaj zaczynało się od wymiany zdań, a kończyło na zaproszeniu na posilek. Wiele rozmów odbyło się na dworcach czy w autobusach.

– *Słyszałeś o Nedzie?* – spytała młoda Iranka, z którą jechałem z Buszehru do Teheranu.

– *Nie* – odpowiedziałem ostrożnie.

– *To było 20 czerwca 2009 roku, w sobotę. Neda miała dwadzieścia siedem lat. Brała udział w pokojowej demonstracji w Teberanie. Została zabita przez policję. To nasza Joanna d'Arc.*

To stało się okazją do dłuższej opowieści o drugiej stronie życia w pięknym Iranie. Kiedy moja towarzyszką skończyła mówić o tym, jak Neda stała się symbolem walki opozycji z prezydentem Mahmudem Ahmadineżadem, odważyłem się pociągnąć temat. Choć rozmowa na tematy polityczne wydawała się być ryzykowna, podjąłem to ryzyko. Moją nową znajomą wypytywałem o życie kobiet w Iranie i o działalność studencką. Z przerażeniem wysłuchiwałem jej słów o obowiązującej karze śmierci i wykonywaniu egzekucji. Dowiedziałem się, że zgodnie z irańskim kodeksem karnym skazany

na ukamienowanie za cudzołóstwo mężczyzna jest zakopywany w ziemi do pasa, kobieta zaś po szyję. Rzucane przez tłum kamienie nie mogą być duże, by nie spowodowały zbyt szybko śmierci skazanych. Ledwie doczekałem końca podróży.

NA KOSZT GOSPODARZA

Pewnego razu postanowiłem coś zjeść w dworcowym barze. Zamówiłem najpopularniejsze irańskie danie, barani kebab. Wraz z nim dostałem towarzystwo – mężczyzna wręczył mi zamówiony posilek i przysiadł się do mnie.

– *Skąd jesteś?*

– *Z Polski.*

Znów przerobiliśmy zestaw podstawowych zwrotów grzecznościowych. Później mężczyzna wstał na chwilę i zniknął między stolikami. Po chwili powrócił z albumem fotograficznym. Przewracając stronę za stroną, po 30 minutach poznałem całą jego rodzinę. A kiedy na końcu poprosiłem kelnera o rachunek, ten poinformował mnie, że nic nie płacę. Byłem gościem właściciela. ○

WWW.JEDRZEJMAJKA.PL

REUSE
REDUCE
RECYCLE
REWATERPROOF



NIKWAX
WATERPROOFING



Nikwax optymalizuje wydajność
Twojego wodoodpornego
oddychalnego ubrania
i przedłuża jego wytrzymałość

Aby bezpiecznie wyczyścić i polepszyć wydajność Twojego wodoodpornego
ubrania, najlepiej użyć środka Nikwax® Tech Wash®

- Odnawia oddychalność
- Czyści w delikatny sposób, nie uszkadza warstw DWR
- Przedłuża żywotność i wydajność Twoich ubrań outdoorowych
- Przygotowuje do impregnacji i usuwa zabrudzenia w bezpieczny sposób
- Przyjazny dla środowiska skład bazujący na wodzie, wolny od fluorowęglowodorów



NIKWAX
EASIER | SAFER | DRIER

Sklepy z naszymi produktami znajdziesz na: www.nikwax.com

Wielki tydzień na świecie

FILIPINY

Filipiny to największy katolicki kraj w Azji. Wielkanoc jest tu najważniejszym świętem, choć jej przebieg ma charakter kontrowersyjny i wzbudza krytykę władz kościelnych. Obchody Wielkiego Tygodnia przyciągają jednak rzesze turystów z całego świata. W Wielki Piątek ulicami miast przechodzą procesje biczowników, którzy kaleczą swoje plecy ostrymi pejciami, tak że po jakimś czasie całe ich ciało spływa krwią. Po przejściu Drogi Krzyżowej następuje rytuał naśladujący ukrzyżowanie Chrystusa i dwóch łotrów. Ochotnicy przybijani są do krzyży dziesięciocentymetrowymi gwoździami. Uczestnicy uroczystości wierzą, że udział w niej pozwoli odkupić im grzechy i zwiększy szansę na wysłuchanie modlitw.

HISZPANIA

Obchody Świąt Wielkiej Nocy w Hiszpanii świadczy m.in. fakt, że Wielki Czwartek i Piątek są dniami ustawowo wolnymi. Procesje pokutne na południu Hiszpanii, zwłaszcza w Andaluzji, są najbardziej widowiskowymi wydarzeniami religijnymi w Europie, głównie za sprawą tradycyjnych ubiorów organizujących je bractw religijnych.

Pokutnicy ubrani są w długie tuniki, których kolor wiąże się z przynależnością do określonego bractwa oraz w wysokie, spiczaste nakrycia głowy z otworami na oczy. Członkowie bractw religijnych danego miasta przemierzają trasy z poszczególnych kościołów do katedry i z powrotem, dźwigając lektyki z figurami Jezusa reprezentującymi sceny Jego męki, śmierci i zmartwychwstania oraz figury bolejącej Maryi. Najwięcej widzów przyciągają procesje w Sewilli i Granadzie.

BRAZYLIA

Obchody Wielkiego Tygodnia w Brazylii rozpoczynają się, tak jak w Polsce, od poświęcenia palm w niedzielę. W ten dzień wierni przynoszą do poświęcenia również kwiat zwany Macela, który kwitnie w Brazylii w tym okresie. Jest on później używany jako zioło i ma być lekarstwem na wiele chorób. W Wielką Środę odbywa się „procesja spotkania”. Z jednego krańca parafii wychodzi pochód z figurą Matki Bożej Bolesnej, a z drugiego – z figurą Pana Jezusa dźwigającego krzyż. Procesje spotykają się przed kościołem parafialnym i następuje pocałunek – Matka Boża całuje swego Syna. W Wielki Piątek, we wsiach i miastach odbywają się nabożeństwa drogi krzyżowej. Uczestniczy w nich głównie młodzież, która do krzyży niesionych na plecach przybija karteczki z wypisanymi grzechami i wadami.



Czeski weekend

W Czechach znajduje się ponad dwieście zamków i pałaców. W sezonie wiosenno-letnim ich dziedzicze ożywiają liczne koncerty, przedstawienia teatralne, jarmarki rzemiosł i inne ciekawe imprezy. Warto wybrać się na wycieczkę, na przykład na zamek Bečov nad Teplou koło Karlowych Warów, gdzie obejrzeć można unikatowy romański relikwiarz św. Maura, jeden z najcenniejszych zabytków sztuki złotniczej w Czechach. Można też spotkać się z duchami na zamku Dětenice w sercu Czeskiego Raju. Wiele zamków oferuje także nocne zwiedzanie.

www.zamky-hrady.cz.

Więcej na

www.czechtourism.com



Przed nami kolejny sezon kolarski. Zapraszamy wszystkich sympatyków jazdy na dwóch kółkach na wyścigi kolarskie z cyklu AZS MTB CUP 2012.

W imprezie może wystartować każdy – bez względu na wiek czy poziom sportowy. Niezwykle widowiskowa rywalizacja odbywać się będzie na trasach o krótkiej, liczącej 3-4 kilometry pętli. Cykl składa się z 7 edycji: 22.04 Warszawa, 06.05 Bydgoszcz, 20.05 Wrocław, 9-10.06 Wierchomla, 14-15.07 Ustroń, 02.09 Lublin i 23.09 Zabrze.

Na każdego uczestnika czekają bogate pakiety startowe, w których znajdują się m.in. skarpetki kolarskie Nordhorn, suplementy Nutrend, produkty Light My Fire.

Więcej na

www.azsmtbcup.com

KOLEJNY SEZON NA 2 KÓŁKACH





Polska wizytówka w Szwajcarii

Szwajcaria to kraj, który przyciąga krajozabrami i narciarskimi kurortami. Niewielu jednak wie, że w miejscowości Rapperswil, w XIII-wiecznym zamku mieści się polskie muzeum historyczne. Założone zostało w 1870 roku przez Władysława Platera. Miało zabezpieczać polskie zabytki historyczne i propagować Polskę. Na przełomie XIX i XX wieku muzeum miało największą bibliotekę polską na emigracji.

W 1921 r. przeszło na własność Państwa Polskiego, a 6 lat później przejęło je Muzeum Narodowe i Biblioteka Narodowa. Dziś w muzeum odbywają się koncerty, wystawy i konferencje naukowe, których celem jest szerzenie wiedzy o Polsce i jej kulturze. Muzeum Polskie jest świadectwem wielowiekowej przyjaźni polsko-szwajcarskiej. Niestety grozi mu zamknięcie. Zarządcy zwracają się z prośbą o podpisanie petycji.

„Zamknijcie tak zasłużonej dla kultury i historii obu narodów instytucji prze-

kreśli dorobek wielu pokoleń oddanych sprawie Polaków i Szwajcarów, będzie wyrazem braku szacunku dla trudu i wyrzeczeń setek wolontariuszy i pracowników muzeum. Zwracamy się o pomoc w utrzymaniu Muzeum Polskiego w Rapperswilu, muzeum pielęgnującego pamięć walk o wolność, o którą domaga się ciągle wiele narodów”.

www.muzeum-polskie.org

Bogactwo w piaskach Bałtyku



„Bursztyn” wywodzi się od słowa „bernstein”, co w tłumaczeniu z niemieckiego oznacza płonący kamień. W Polsce zwyciężyła ta nazwa, ale sąsiadujący z nami Słowianie używają również określenia „jantar”, które wywodzi się z fenickiego yain-i tar – żywica morza.

Bursztyn to skamieniała żywica zawarta głównie w sokach drzew iglastych – sosen, cyprysów i araukarii. Tworzenie się

go jako amulet, przypisując mu moc ochronną. Twierdzono, że „odpiera szkodę wyrządzoną przez patrzącego złym okiem”. Dostrzeżono też, że bryłki bursztynu są cieplejsze od innych

kamieni. Współcześnie prowadzone badania dowiodły dobroczynnych właściwości jantarego kamienia. Odkryto, że kwas otrzymany z bursztynu pobudza system nerwowy, reguluje pracę nerek i jelit, jest środkiem przeciwzapalnym i antytoksycznym. Żywice kopalne, takie jak bursztyn, są znane nie tylko nad Bałtykiem. Występują też na Grenlandii, Dominikanie, Sachalinie, Sycylii, w Birmie, Tajlandii, Wietnamie, Malezji, Chile, Meksyku, Australii, Libanie i Jakucji. W sumie znanych jest sześćdziesiąt odmian tych kamieni. Podobnie duża jest różnorodność kolorów bursztynu – od najbardziej cenionej w dawnych wiekach barwy białej, poprzez wszystkie odcienie żółci i brązów do specyficznej czerwieni. Spotyka się też bursztyn o barwie niebieskawej, zielonkawej, a nawet czarnej. Najbardziej znany jest



bryłek bursztynu w zasolonych, chłodnych wodach morskich trwało znacznie dłużej niż w ciepłym klimacie. Wyjątkowe właściwości bałtyckiego bursztynu sprawiły, że przez tysiące lat wykonywano z niego wyroby artystyczne. Od wieków ludzie wierzyli także w jego dobroczynne oddziaływanie. Noszono

bursztyn bałtycki, zwany sukccenitem znajdujący na wybrzeżach Polski, Litwy, Łotwy, Rosji, Danii, Niemiec i Szwecji. Dziś także, zwłaszcza po sztormie, każdy może znaleźć na plaży niepowtarzalny okaz tego wspaniałego kamienia.

EUROPA | Polska

Agnieszka Kantaruk

MAŁOPOLSKA WIELKANOC





Aby zobaczyć barwny świat ludowych tradycji i obrzędów nie trzeba daleko wyjeżdżać. Liczne zwyczaje poprzedzające Święto Wielkiej Nocy są w Małopolsce kultywowane do dziś, każdy może wziąć w nich udział.



FOT. AGNIESZKA KANTARUK

WIKLINA OD POKOLEŃ

Józef Pac jest jednym z najstarszych mistrzów wikliniarzy w Ściejowicach. Uprawia i ścina wiklinę w sposób tradycyjny. Jego zdaniem gwarantuje to najwyższą jakość zbiorów.

Pierwsze zwiastuny Wielkanocy można dostrzec w Małopolsce zanim jeszcze stopnieją ostatnie śniegi. Na pola w zakolu Wisły, które można obserwować z tynieckiego Opactwa Benedyktynów, wyruszają zaopatrzeni w sierpaki chłopi. To czas nietypowych zbiorów. Ich rezultatem będą sztuby wikliny, które w pracowniach rzemieślników przemienią się w wiklinowe koszyki. To w takich Polacy niosą święconkę podążając do kościołów w Wielką Sobotę. Rączna, Jeziorzany i Ściejowice, podkrajowskie wioski gdzie ów zbiór odbywa się od XIX wieku, były wikliniarskim zagłębiem zaopatrującym nie tylko miasta w Polsce, ale i za granicą. W Ściejowicach powstała nawet, pierwsza w Galicji, państwowa szkoła koszykarstwa. Wikliniarstwo z nadwiślańskich wiosek ma charakter tradycyjny, odległy od upraw przemysłowych.

WYPLATANE DZIEDZICTWO

– Wiklinę można ciąć maszyną lub, jak z dziada pradziada, ostrym sierpem. Drugi sposób jest bardziej pracochłonny, ale pozwala od razu odrzucić te prąty, które do niczego nie będą się nadawały – tłumaczy Józef Pac, jeden ze starych mistrzów. Zebrane gałązki układa na polu w stosy, następnie grupuje w różnej wielkości sztuby i przenosi na podwórko swojego gospodarstwa. I tak, przemierzając tutejsze okolice, piechur zobaczy setki wiązek wikliny na każdym podwórzu.

– Gdy gałązki zwiezie się z pola, osuszy i posegreguje, trzeba je wygotować w kotle – tłumaczy Kazimierz Gruca, wyplatający przedmioty z wikliny od blisko sześćdziesięciu lat. Gotowanie trwa od 8 do 12 godzin. Dzięki niemu wiklinowe gałązki łatwiej jest okorować, czyli pozbawić wierzchniej powłoki.

– Do korowania służy kłyska – mówi pan Kazimierz. – Robi się ją łatwo: ze szprychy od roweru albo drutu z parasolki – tłumaczy prezentując urządzenie domowej roboty. Korować można też maszynowo, ale – co podkreślają wikliniarze – to już nie ta sama staranność. Kolejną czynnością jest dokładne osuszenie wiklinowych prętów.

– Dobrze przygotowana wiklina może leżeć w suchym miejscu i z pięć lat, ale rzadko przechowuje się ją tak długo. Raczej jest zużywana z sezonu na sezon, bo mało kto uprawia i zbiera więcej niż może wykorzystać – mówi Władysław Tyrka.

Zanim zacznie się pracę nad wykonaniem koszyka lub innego przedmiotu, wiklinę trzeba jednak znowu namoczyć, co trwa około 1,5 godziny. Póź-



FOT. AGNIESZKA KANTARUK

SZTUBY NA PODWÓRZACH

Wiązka wikliny to sztuba. Podwórza rzemieślników są ich pełne. Kazimierz Gruca właśnie zajmuje się korowaniem.



LIPNICKIE SEKRETY

Pokazy na rynku w Lipnicy Murowanej zdradzają tajniki tworzenia gigantycznych palm.

niej można przystąpić do pracy. Władysław Tyrka, który już w najmłodszych latach uczył się zawodu od swego ojca, potrafi wykonać średniej wielkości koszyk w 40 minut. Kazimierzowi Grucy, który również poznał tajniki wikliniarstwa jako dziecko, wykonanie dużego kosza zajmuje trzy godziny.

– Dekiel, detale, ozdobne wykończenia – to zajmuje najwięcej czasu – mówi. Niestety tej sztuki nie chcą się uczyć dzieci obecnych właścicieli pracowni. Studiują, wybierają nowoczesne zawody, nie poświęcając czasu tradycji. Tym samym zawód powoli zanika, choć paradoksalnie od kilku lat rośnie popyt na rękodzieło, który pobudzają dodatkowo zagraniczni turyści rozmiłowani w przedmiotach wykonywanych ręcznie. A zatem, kto ma ochotę zaopatrzyć się w wielkanocny koszyk, może śmiało wyruszać w drogę do wytwarzających je rzemieślników. Można go kupić tutaj już od 1,5 zł za sztukę.

PALMY PO NIEBO

Na tydzień przed Wielkanocą Małopolska ogląda

kolejne wykonane ręcznie cuda. W Lipnicy Murowanej obrywa się doroczny Konkurs Palm Wielkanocnych, którego sława sięga daleko poza granice kraju. Wykonane przez lipniczan palmy przyjeżdżają oglądać goście, także z zagranicy. Ta atencja nie dziwi, bo jest tu na co popatrzeć. Wydarzenie

LEGIONIŚCI KALWARYJCZY

Obchody Wielkiego Tygodnia w Kalwarii Zebrzydowskiej przybliżają wiernym, w formie teatralnych przedstawień, sceny ostatnich ziemskich chwil Jezusa Chrystusa.



Z CAŁEGO ŚWIATA

W Niedzielę Palmową na rynku w Lipnicy Murowanej można usłyszeć wiele języków i spotkać turystów w każdym wieku.



FOT. ANDRZEJ SĘPOSIŃSKI

okolicznych wiosek, by utrzymywali tradycję swoich przodków. Zamierzenia te udało się osiągnąć – nie dość, że konkurs organizowany jest do dziś, to i palmy rosną z roku na rok, bijąc rekordy wysokości. Ubiegłoroczna zwyciężczyni, palma wykonana przez Zbigniewa Urbańskiego, mierzyła aż 36 metrów i cztery centymetry. Turystów frapuje, jak to się dzieje, że osiągające powyżej 30 metrów wysokości, olbrzymie palmy, wcale się nie łamią, tylko dzielnie utrzymują pion. Organizator wydarzenia, którym jest Gminny Dom Kultury w Lipnicy Murowanej, pomyślał o tym, by zaspokoić ciekawość gości. Na ustawionej na rynku scenie odbywają się pokazy sporządzania takich palm.

Przebywając w Lipnicy warto na chwilę opuścić gwarny rynek i zajrzeć do kościoła św. Leonarda. Ten modrzewiowy zabytek wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego i Naturalnego UNESCO to prawdziwa perła na Szlaku Architektury Drewnianej. Kościół został zbudowany w 1141 r. na miejscu gontyny pogańskiej, a jego obecna forma została ukształtowana na przełomie XV i XVI w. Wewnątrz znajdują się trzy cenne tryptyki: św. Leonarda, św. Mikołaja i Adoracja Dzieciątka Jezus.

ŻYWE MISTERIUM

Prosto z Lipnicy Murowanej można wyruszyć do Kalwarii Zebrzydowskiej. Tam, również w Niedzielę Palmową, rozpoczyna się Misterium Męki Pańskiej, które w tym roku przypadnie w dniach od 1 do 6 kwietnia. Tradycja upamiętniania scen związanych z Wielkim Tygodniem trwa w tym miejscu niemalże od chwili jego powstania, a w XVII wieku została przypieczętowana stałym scenariuszem. Jego dokładna treść nie przetrwała do naszych czasów. Nowy scenariusz oparty na tekstach ewangelicznych został sporządzony przez ojca Augustyna Chada-ma, który stworzył też nową oprawę artystyczną, a także wprowadził nowe stroje.

Co roku o godzinie 15:00 Pan Jezus wjeżdża

to odbywa się w każdą Niedzielę Palmową począwszy od 1958 roku, gdy wymyślił je miejscowy poeta Józef Piotrowski. Celem konkursu jest wyłonienie najwyższej palmy, ale też zachęcenie mieszkańców



FOT. AGNIESZKA KANTARUK

na osiołku do kalwaryjskiej Jerozolimy, a następnie przepędza kupców ze świątyni. Od wieków towarzyszą mu przy tym tłumy wiernych, przybywających do Kalwarii ze wszystkich zakątków Polski. Obchody Wielkiego Tygodnia trwają od Niedzieli Palmowej aż do Niedzieli Zmartwychwstania, a kolejne dni przybliżają wiernym inne sceny ostatnich ziemskich chwil Jezusa Chrystusa. Odgrywają je alumni Seminarium Duchownego Ojców Bernardynów. Scena wydania wyroku na Pana Jezusa zwana „Dekretem Piłata”, która odgrywana jest w Wielki Piątek, gromadzi najwięcej pątników. Po niej wielka procesja wyrusza w kierunku Golgoty, gdzie kończy się Liturgia Męki i Śmierci Pana Jezusa. Wszystko to odbywa się w malowniczej scenerii sanktuarium, w którym kolejne kaplice wtapiają się w wiosenną przyrodę. Założenie to ufundował w roku 1604 Mikołaj Zebrzydowski, który po lekturze książki Christiana Andrichomiusza opisującej Jerozolimę w czasach Chrystusa postanowił utworzyć na swoich ziemiach stację Męki

Pańskiej. Kaplice, charakteryzujące się oryginalnymi rozwiązaniami architektonicznymi, wzniesiono z wielką precyzją i kunsztem. Warto wygospodarować czas, by dokładnie zwiedzić ten obiekt. W Wielką Niedzielę wszystkie kaplice są otwarte, ale nie obleżone przez pielgrzymów. Niewiele osób podejmuje też trud pobudki przed świtem i uczestnictwa w niedzielnej procesji rezurekcyjnej z kaplicy Grobu Pańskiego do bazyliki, a to jedno z najbardziej przejmujących wydarzeń w toku kalwaryjskiego Wielkiego Tygodnia. Na godzinę przed świtem, ze szczytu góry Żarek, niesie się przez ciemny las donośny i dostoyny dźwięk marszy żałobnych. To przy Grobie Pańskim gra kalwaryjska Miejska Orkiestra Dęta. Z komina Pustelni św. Heleny na północno-wschodnim stoku góry Żarek unosi się dym. Okolicę spowija ciemność, palą się tylko świece przy ścianach Grobu Pańskiego. Panuje mistyczny, pełen wyczekiwania nastrój. Ta przepiękna uroczystość pozwoli każdemu pojąć tajemnicę wielkanocnej radości. ○

HOSANNA

Wierni w przebraniach odnoszących się do czasów współczesnych Jezusowi odgrywają sceny związane z Wielkim Tygodniem. Pierwszą z nich jest wjazd Jezusa do Jerozolimy w asyście mieszkańców tego miasta.

Czyste życie

Anna Książek





Costa Rica oznacza w języku hiszpańskim „bogate wybrzeże”. Tak miał określić te tereny Krzysztof Kolumb, który stwierdził, że podczas dwudniowego pobytu widział tam więcej złota, niż podczas lat spędzonych w Hiszpanii. Dzisiaj złota już nie ma – skarbem jest środowisko naturalne. Jedno z haseł reklamowych głosi: Kostaryka – bez sztucznych dodatków.



FOT. ANNA KSIĄŻEK

Ticos, czyli mieszkańcy Kostaryki, to przyjaźni i życzliwi ludzie. Są dumni ze swoich parków narodowych, z wulkanów, z pięknych plaż karaibskich i pacyficznych, a także z jakości życia, jakie wiodą. Mówią, że Kostaryka to pura vida – czyste życie. Kraj posiada większą bioróżnorodność niż Europa i USA razem: 615 gatunków zwierząt na 10 000 km². Kostaryka to najbogatszy kraj Ameryki Centralnej. Swoje dochody czerpie z eksportu bananów, ananasów i doskonałej kawy.

REPUBLIKA BANANOWA

Udaję się na wybrzeże karaibskie, do Parku Narodowego Tortuguero. Jadąc podziwiam okolice wulkany, w tym najwyższy w Kostaryce – Irazu o wysokości 3 432 m n.p.m. Z jego szczytu przy dobrej pogodzie można zobaczyć zarówno wybrzeże karaibskie, jak i Pacyfik. Kierując się w stronę Morza Karaibskiego mijamy rozległe plantacje bananów – to stąd pochodzą najbardziej znane marki: Chiquita i Dole. Banany importowane z Wysp Karaibskich z czasem stały się głównym towarem eksportowym krajów Ameryki Centralnej. To tutaj na początku XX wieku powstała United Fruit



FOT. ANNA KSIĄŻEK

Company, która dziś nie cieszy się dobrą reputacją na tych terenach. Banany, aby być zyskowne potrzebują dużych obszarów uprawnych i taniej siły roboczej. To bardzo wrażliwe rośliny, jedna choroba może zainfekować całą plantację. Duża ilość nawozów stosowanych do upraw jest szkodliwa dla ekosystemu Kostaryki, powoduje niszczenie lasu deszczowego i erozję gleby. Na przełomie XIX i XX wieku prawie 85% powierzchni kraju zajmował las deszczowy, w latach 80. XX wieku powierzchnia ta zmniejszyła się do 26%, głównie za sprawą rolnictwa. Obecnie programy ochrony środowiska dbają o powiększenie terenów leśnych.

TORTUGA ZNACZY ŻÓŁW

Zbliżam się do miejscowości Parismina, tuż nad Morzem Karaibskim, gdzie przesiadam się do łódki, aby podczas godzinnej rejsu dotrzeć do Parku

Tortuguero. Już po kilku minutach zatrzymujemy się i podziwiamy akrobatyczne wyczyny małp czepiaków. Mają one niezwykle długie kończyny i długi ogon, co sprawia, że są niezwykle zwinne. Obserwuję dorosłego osobnika niosącego na ogonie młodą małpkę. Przewodnik wskazuje na koronę innego drzewa, gdzie wisi leniwiec. Nagle zwierzę zaczyna się poruszać, a zdarza się to niezwykle rzadko. Leniwce całymi dniami wiszą na gałęziach, schodzą średnio raz na tydzień, bo ich głównym pożywieniem są liście.

Park Narodowy Tortuguero znany jest z zielonych żółwi morskich. Już w czasach prekolumbijskich rdzenna ludność doceniała mięso tych gadów, które służyło także jako towar wymienny. Żółwie były łatwe w transporcie – wystarczyło unikać wystawiania ich na słońce i od czasu do czasu spryskiwać wodą. W XIX wieku w Anglii rarytasem stała się zupa z żółwia. Finalnie w XX wieku nadmierne

RZECZNA ARTERIA

Park Narodowy Tortuguero zajmujący powierzchnię 18 946 ha jest całkowicie pozbawiony dróg, dlatego też najwygodniej podróżować po nim łódką.



DO GÓRY BRZUCHEM

Leniwce poruszają się po drzewach grzbietem ku dołowi. Młode przyjmują taką pozycję natychmiast po urodzeniu i bardzo się starają, by nie zmienić jej przez resztę swojego życia.

połowy niemalże doprowadziły do wyginięcia zielonych żółwi morskich i od roku 1960 objęte są one ochroną. W lipcu i sierpniu można obserwować, jak te zwierzęta wyłaniają się nocą z morza, by złożyć jaja. Samica może ich znieść od 80 do 120. Jaja zakopywane są w piasku i po okresie 45 do 70 dni wykluwają się młode, które następnie przemieszczają się w kierunku morza najszybciej jak to możliwe,

aby uniknąć odwodnienia i ataku innych stworzeń. Mnie udaje się zobaczyć kilka młodych żółwików, są bezradne i zdezorientowane. W pobliżu wioski działa Caribbean Conservation Corporation, gdzie można zdobyć więcej informacji na temat żółwi morskich i zostać uczestnikiem programu wolontariackiego, mającego na celu ich ochronę.

Kolejny dzień rozpoczynam przed 6 rano, aby udać się na wyprawę łódką po kanałach Tortuguero. Po drodze spotykam niezwykle wiele ptaków z rodziny czapli, nad głową przelatuje pelikan, w koronach drzew słychać małpy, a na wodzie wyługuje się niewielki żółw. Podpływamy do wysepki, gdzie w pierwszych promieniach słońca wygrzewa się kajman. Mamy szczęście do pogody, na razie nie pada, a obszar Tortuguero to jeden z najbardziej wilgotnych i deszczowych obszarów w Kostaryce, o czym wkrótce się przekonam.

Czas zwiedzić park pieszo, zakładam kalosze i udaję się na wędrowkę. Oglądam małpy skaczące w koronach drzew. Wyjec, największa z małp Norwega Świata, obraca się wokół gałęzi, a z góry spogląda na nią para kapucynek. Wyjce towarzyszą mi często, budząc o poranku – ich charakterystyczny gardłowy głos słychać na przestrzeni kilku kilometrów. Nazwy małp poznaję, gdy kupuję przewodnik z ilustracjami fauny i flory Kostaryki, z którym od tego momentu już się nie rozstaję. Łapię bakcyła



FOT. ANNA KSIĄZEK

WODA TO ŻYCIE

Młody żółwik mozolnie brnie w stronę morza, by jak najszybciej znaleźć się w swoim naturalnym środowisku. Na ląd wychodzą jedynie samice w celu złożenia jaj.



FOT. ANNA WISZCZAK

BARWY CHRONIONE

Kostaryka zajmuje obszar 51 000 km². Ponad ¼ terenu jest pod ochroną. Znajdują się tu 32 parki narodowe, 8 rezerwatów biologicznych, 13 rezerwatów leśnych i 51 rezerwatów ochrony przyrody.



FOT. ANNA WISZCZAK

podglądania życia zwierząt. Moją pasję wzmacnia spotkanie z przewodnikiem, z którym podglądam życie ptaków i uzmysławiam sobie jak słabo rozwinięty jest mój zmysł wzroku. Kiedy przewodnik wskazuje na szczyty drzew, na początku nic nie widzę, z pomocą przychodzą lornetka i statyw.

W dniu, kiedy postanawiam opuścić teren parku, natura daje o sobie znać. W nocy mam wrażenie, że mój sufit za chwilę nie wytrzyma pod naporem deszczu.

ŻABA W DŻINSACH

Zatrzymuję się w Puerto Viejo de Sarapiquí. Właściciel hotelu, Alex, okazuje się pasjonatem – prowadzi schronisko dla zwierząt i może godzinami opowiadać o żabach i tukanach. W jego ogrodzie w nocy po raz pierwszy widzę zieloną żabę z wielkimi czerwonymi oczami.

Następnego dnia udaję się do lasu deszczowego – jak na nazwę przystało, od rana leje. Las jest gęsty, na początku spostrzegam ogromne korzenie, póź-

ZIELE PRZY KRATERZE

Orchidea rosnąca niedaleko wulkanu Arenal.



FOT. SHUTTERSTOCK

DŽINSY W DŽUNGLI

Żywe kolory żaby blue-jeans, które tak przyciągają ludzki wzrok, w istocie mają za zadanie odstraszać drapieżniki.

KOLOROWY REFLEKS

Większość piór kolibrów rozszczepia światło, co nadaje tym ptakom tak barwny wygląd.



FOT. ANNA KISZCZAK

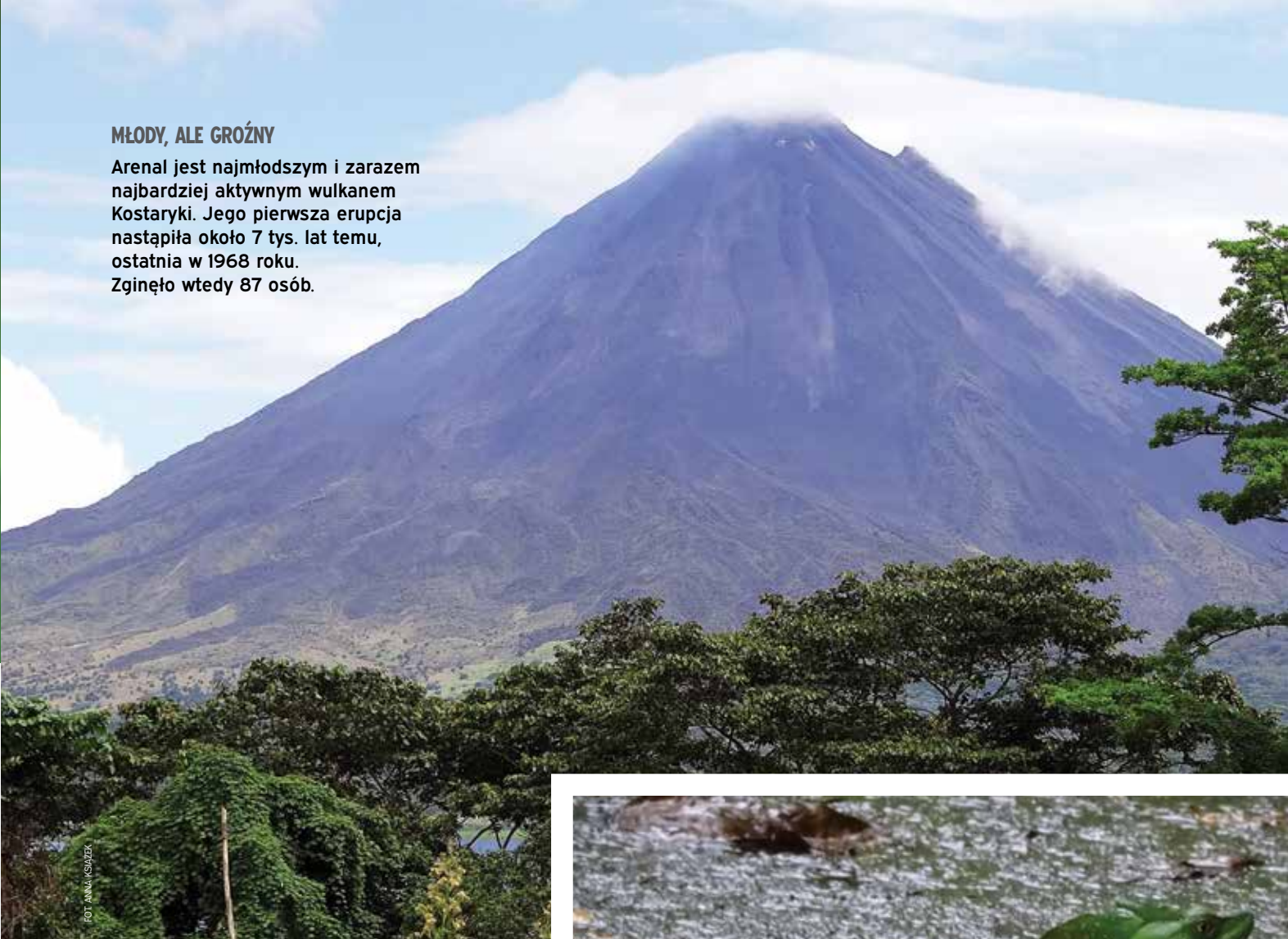
niej doczytam, że w ten sposób drzewa gromadzą więcej substancji odżywczych. Korzenie te mogą sięgać nawet 15 metrów wysokości i często łączą się z innymi drzewami. Charakterystyczne dla lasu deszczowego są także epifity – rośliny obrastające drzewo, jak orchidee, których w Kostaryce występuje około 1 400 rodzajów. Nagle spostrzegam „czerwoną żabę w džinsach” – bo tak brzmi wolne tłumaczenie angielskiej nazwy – jest niewielkich rozmiarów, ale jej skóra zawiera toksyny, które działają jednak tylko na zwierzęta. W pewnym momencie w poprzek mojej ścieżki dostojnie staje zielona jaszczurka zwana „Jesus Christ Lizard”. Las deszczowy to nie tylko płuca naszej planety, ale również naturalna apteka. Wiele roślin jest wykorzystywa-

nych w medycynie naturalnej, miejscowa ludność wie, jak radzić sobie z bólem głowy, niestrawnością czy ukąszeniami. Wystarczy udać się do lasu. Mój przewodnik twierdzi, że w lesie deszczowym znajdują się lekarstwa na bólaczki cywilizacji. Las wycisza i działa inspirująco.

Zmierzam ku miejscowości La Fortuna, leżącej w otoczeniu aktywnego wulkanu Arenal. Na swoją bazę wybieram spokojne miejsce w miejscowości El Castillo, położone na wzgórzu z widokiem na wulkan i jezioro Arenal. O świcie tradycyjnie wyruszam na spotkanie z fauną i florą. Ze spaceru przynoszę liście pomarańczy i mięty – dzisiaj na śniadanie przygotuję orzeźwiająca herbatę. Po posiłku odkrywam magiczny ogród pełen kolibrów. To najmniejsze ptaki na świecie, w Kostaryce występuje ich 50 rodzajów. Ciężko je uchwycić na fotografii, są w ciągłym ruchu, podobno potrafią latać z prędkością do 120 km/h. Zafascynowana ich elektryzującymi kolorami spędzam pół dnia na obserwacji. W międzyczasie spoglądam na wulkan Arenal. Wznosi się on na wysokość 1 633 m n.p.m. i jest jednym z dziesięciu najbardziej aktywnych wulkanów na Ziemi. Kolejne dni spędzam na wędrówkach po okolicy. Podczas jednej z nich przede mną przelatuje ogromny motyl, niebieski Morpho. Nie mogę uwierzyć, że udało mi się go spotkać. Niebieski Morpho doskonale się kamufluje, siedząc na liściu wygląda niepozornie, ma kolor szaro-brązowy, dopiero podczas lotu pokazuje swoje, bądź co bądź, ulotne piękno.

MŁODY, ALE GROŹNY

Arenal jest najmłodszym i zarazem najbardziej aktywnym wulkanem Kostaryki. Jego pierwsza erupcja nastąpiła około 7 tys. lat temu, ostatnia w 1968 roku. Zginęło wtedy 87 osób.



FOT. ANNA KSIĄŻEK

ZIELONE WZGÓRZA CHMURNEGO LASU

Udaję się w nieco chłodniejsze tereny, na obszar lasu mglistego, w okolicy rezerwatów Monteverde i Santa Elena. Tutaj jest znacznie bardziej tajemniczo, wokół mnie przez cały dzień unosi się mgła i wilgoć. Las położony jest na wysokości 1 500 m n.p.m., stąd chłodniejsze temperatury. Ponad 25% roślinności stanowią epifity, które doskonale akumulują wilgoć.

Mieszkam w miejscowości Santa Elena. Zachęcona opowiadaniem miejscowej ludności wyruszam z grupą na nocny spacer po mglistym lesie. Już na początku wpadamy na tarantulę. Po kilku krokach przewodnik oświetla zielonego węża, który prezentuje się spektakularnie i jest bardzo jadowity. Szukamy leniwca, ale trudno go odnaleźć, bo nie wydaje dźwięków. Oglądamy niezliczone gatunki insektów, część z nich świetnie się kamufluje, inne wręcz odwrotnie – mają intensywne barwy.



FOT. ANNA KSIĄŻEK

Złapałam bakcyła podglądania przyrody. Nic mnie tak nie odprężyło, jak niekończące się godziny w oczekiwaniu na pojawienie się tukana. Tym razem się nie udało. Słyszałam tylko jego odgłosy. Był w pobliżu. Może specjalnie się nie pokazał, by zachęcić mnie do powrotu do Kostaryki. ○

BAZYLISZEK PŁATKOGŁOWY

Zwany jest także jaszczurką Jezusa Chrystusa – ze względu na umiejętność biegania po powierzchni wody.



NAVIGATOR

Nasze rekomendacje na krótkie wypady






FOT. SHUTTERSTOCK

W CIEMNYM LESIE

Schwarzwald („Czarny Las”) to najpiękniejszy i największy las Niemiec. Swoją nazwę zawdzięcza porastającym jego wyższe partie ciemnym lasom jodłowym. Schwarzwald stanowi odrębną masę górską, który rozciąga się przez 170 km z północy na południe i około 60 km ze wschodu na zachód. Poprzecinany jest licznymi dolinami rzek. W jego wschodniej części swoje źródła ma Dunaj. Rejon Schwarzwald jest stosunkowo gęsto zaludniony, a większość miejscowości to uzdrowiska i kurorty. Jest to region bardzo popularny turystycznie z wieloma ośrodkami sportów zimowych, ale turyści odwiedzają go przez cały rok. Poza pięknymi widokami do przyjazdu składają ich źródła ciepłych wód termalnych, liczne rzeki i wodospady,

z których największym i najokazalszym (w całych Niemczech) jest wodospad Triberg. W miejscowości Triberg znajduje się również warte odwiedzenia muzeum zegarów z kukułką, z największym zegarem tego typu na świecie. Ponadto warto zwiedzić skansen Schwarzwälder Freilichtmuseum, który ukazuje wiejskie życie sprzed kilkuset lat. W rejonie znajduje się również wiele niefunkcjonujących już kopalni, które są otwarte dla zwiedzających. W 2011 roku Schwarzwald zakwalifikował się do finalistów konkursu Siedem Nowych Cudów Natury.

 **48°19' N 8°11' E**
138 km na południe od Stuttgartu.



FOT. ALABAZOVA, ROLEX

Szkocja North Berwick

Z widokiem na ptasią skałę

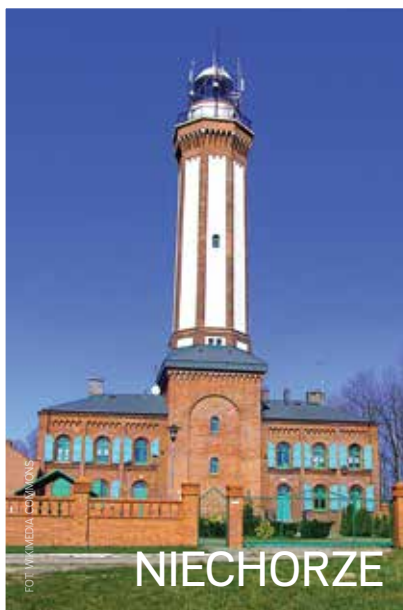
North Berwick to portowe miasteczko niedaleko Edynburga. Są tu piaszczyste plaże i rozległe pola golfowe nad samym brzegiem morza. Najwspanialszy widok rozciąga się z górującej nad miastem góry North Berwick Law. W zasięgu wzroku, na zatoce Firth of Forth, rozsiane są malownicze skalne wysepki. Najbardziej znana z nich, Bass Rock, jest

całkowicie objęta ochroną, ponieważ stanowi schronienie dla wielu rzadkich gatunków ptaków, takich jak głuptaki i maskonury. Można je podglądać w Scottish Seabird Centre, dzięki umieszczonym na wyspie, zdalnie sterowanym kamerom. Około 5 km na wschód od miasteczka znajdują się ruiny XIV-wiecznego zamku Tantallon Castle.

 **55°58' N 2°46' W**

Dojazd: około pół godziny pociągiem z Edynburga

NA SZLAKU LATARNI MORSKICH



NIECHORZE

Wzdłuż polskiego wybrzeża Bałtyku od Krynicy po Świnoujście znajduje się kilkanaście latarni morskich. Zanim wybrzeże zapełnią tłumy turystów, warto wybrać się na kilkudniową wyprawę ich szlakiem. Jedną z godnych polecenia jest latarnia Stilo (w miejscowości Osetnik) położona na wierzchołku wydmy, odległej około kilometr od brzegu. Z tarasu widokowego rozciąga się piękny widok na las, wydmy i morze. Latarnia Stilo zbudowana została na szesnastokątnym fundamencie, pomalowana jest w czerwone, białe i czarne poziome



STILO

pas. To jedna z dwóch latarni w Polsce wykonanych w całości z metalu. Inne szczególnie polecane na szlaku to latarnia Kikut, która ze względu na swoje położenie jest uznawana za najwyższą na polskim wybrzeżu i latarnia w Niechorzu, wokół której znajduje się piękny ogród, a aby podziwiać widoki z jej szczytu wspiąć się trzeba po 210

schodach. Jest też latarnia na przylądku Rozewie – najstarsza tego typu budowla na polskim wybrzeżu. W jej wnętrzu znajduje się małe muzeum, prezentujące historię latarni morskich od starożytności aż do dzisiaj. Warto również wspiąć się na sopocką latarnię, z której dobrze widać koniec mola, Gdańsk, a przy dobrej pogodzie nawet Hel.



SOPOT



46°32'N 23°52'E

Do Tallinna można dolecieć z Warszawy tanimi liniami.

Estonia Tallinn

KULTURALNIE I ZIELONO

Tallinn leży nad brzegiem Zatoki Fińskiej, 80 km na południe od Helsinek. W 2011 roku miasto to pełniło funkcję Europejskiej Stolicy Kultury. Dzięki rozwinięciu połączeń lotniczych i morskich, turystyka w ciągu ostatnich kilku lat bardzo się tu rozwinęła i odwiedzających z roku na rok jest coraz więcej.

Stolica Estonii zachwyca średniowieczną architekturą, stare miasto zostało wpisane na listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO. Jedną z największych atrakcji są mury obronne otaczające Dolne Miasto. Do dziś zachowało się ich około 70%, w tym 26 baszt krytych czerwoną dachówką. Wybijający się ponad dachy miasta kościół św. Olafa z przełomu XII i XIII wieku, w momencie zbudowania był drugą najwyższą (po wieży katedry w Lincoln) budowlą na świecie (159 m). Przez chwilę był nawet najwyższą – po 1548 roku, kiedy pożar zniszczył tę w Lincoln. Stracił ten tytuł w 1625 roku, również w wyniku pożaru wieży. Obecnie mierzy ona 123 m.

Wśród średniowiecznych budynków w Tallinnie buduje się dużo ciekawych obiektów nowoczesnej architektury. Jednym z nich jest Fahlle. Niegdyś był jednym z budynków starej fabryki, dziś uważany jest za jedno z najbardziej luksusowych miejsc w Estonii, a to za sprawą jego nietypowej modernizacji. Na dachu starej bryły dobudowano kilka nowo-

czesnych oszklonych pięt, a środek zagospodarowano na ekskluzywne apartamenty, restauracje i biura. Warto zwiedzić również zamek Toompea, który znajduje się na wzgórzu o tym samej nazwie oraz kulturalne i handlowe centrum miasta, którym jest Rotermann.



Spragnieni aktywnego wypoczynku mogą wybrać się na trekking na obrzeżach miasta. Pięknych i malowniczych terenów w kraju, którego ponad połowę pokrywają lasy, nie brakuje.



Polska Inowrocław

od minus 100°C do minus 160°C. Ponadto znajduje się tu również ośrodek hipoterapii. Poza leczeniem sanatoryjnym uzdrowisko zaprasza na pobyty profilaktyczne, rehabilitacyjne, odchudzające i rekreacyjne.

Wizytówką miasta jest park uzdrowski, zwany Parkiem Solankowym lub Solankami. Na powierzchni ok. 85 ha mieszczą się wszystkie obiekty uzdrowskie i sanatoria, muszla koncertowa i tereny rekreacyjne – korty tenisowe, park linowy, siłownia terenowa i teatr letni. Ulubionym miejscem spacerowiczów są Ogrody Papieskie, które formą nawiązują do ogrodów watykańskich. W pobliżu planowane jest otwarcie pijalni wód leczniczych.

Inowrocław zwany jest często „miastem na soli” – zalega ona na głębokości od 4500 do około 6000 m pod Równiną Inowrocławską i jest pozostałością istniejącego tu przed 210 mln lat Morza Cechsztyńskiego. Będąc tu trzeba zajrzeć do słynnej tężni solankowej, która przyciąga walorami leczniczymi i oryginalnością konstrukcji. Inowrocław oferuje bogaty program kulturalny przez cały rok, znajdują tu coś dla siebie także miłośnicy architektury i sztuki.

Inowrocław to jedno z najbardziej znanych uzdrowisk w naszym kraju. Tutejsze sanatoria oferują kąpiele solankowe, wodne masaże lecznicze i klasyczne zabiegi z zakresu fizykoterapii. W jednym z ośrodków wybudowano specjalną komorę do krioterapii ogólnej, w której pacjenci poddawani są zabiegom rehabilitacyjnym w temperaturze



52°47' N 18°15' E

Inowrocław znajduje się 250 km na północny zachód od Warszawy.



POD PATRONATEM

ERGO
HESTIA®

Tam i z powrotem,
czyli droga pod
Everest

Janusz Kafarski



LOTNISKO Z WIDOKIEM

Lądowisko Syangboche (3720 m n.p.m.) dla niewielkich samolotów przywożących klientów hotelu Everest View. W tle Thamserku o wysokości 6618 m n.p.m., a na prawo od niego ośnieżony masyw Kusum Kanguru, na który składają się trzy wierzchołki o wysokości 6373 m, 6369 m i 5579 m n.p.m.



Przyjmuje się, że z uwagi na pogodę i temperatury, najlepsze miesiące na trekking do bazy pod Everestem to marzec i kwiecień oraz wrzesień, październik i listopad. Wybieramy listopad – miesiąc, który „gwarantuje” bezchmurne, błękitne niebo i najładniejsze widoki. Każdy plan mogą jednak zniweczyć anomalie pogodowe zdarzające się w Lukli, wiosce położonej zaledwie na wysokości 2860 m, w której dzięki staraniom Edmunda Hillarego, zdobywcy Everestu, powstało małe lotnisko. O tym, że ponad 2500 turystów z całego świata utknęło w Lukli w oczekiwaniu na wznowienie lotów pisały w listopadzie 2011 roku serwisy prasowe na całym świecie.

Z porannej drzemki w hotelu w Katmandu wrywa nas telefon: – *Wznawiają loty do Lukli, za pięć minut jedziemy na lotnisko, pospieszcie się!* Na miejscu panuje bałagan, jaki mógł spowodować tylko fakt, że od ponad tygodnia, ze względu na złą pogodę, nie odleciał jeszcze żaden samolot. Oczekujący to Sierpowie z dziećmi i bagażami oraz tłum (z każdym dniem coraz większy) sfrustrowanych i podenerwowanych turystów, przyjeżdżających

codziennie na lotnisko w nadziei, że dziś będzie lepiej i loty zostaną wznowione. Po chwili przez tłum przedziera się nasz lokalny agent z kartami pokładowymi, na których widnieje stempel z napisem „Lukla”. Mamy szczęście – w stosunku do założonego programu trekkingu nie mamy opóźnień. Ci najbardziej pechowi, już od ponad tygodnia czekają, zarówno w Katmandu, jak i w Lukli, by pogoda zmieniła się na tyle, by jedni mogli dotrzeć w góry, a inni je opuścić.



WYŻSZY OD EVERESTU

Panorama z Kala Pattar. Najwyższy szczyt na zdjęciu, ośnieżony aż do wierzchołka, to Nuptse. Na lewo od niego widać Everest, z którego skalnych zboczy wiatr zmiótł śnieg. Przez złudzenie optyczne wydaje się, że Nuptse jest wyższy od Everestu.

HELIKOPTER W TŁUMIE

Okazuje się jednak, że jesteśmy tylko połowicznymi szczęściarzami. Z uwagi na błyskawicznie zmieniającą się pogodę lecimy nie do Lukli, a do Lamidandy. Stąd, gdy chmury w wyższych partiach gór choć na chwilę się podniosą, dopiero polecimy do Lukli. Chmury się jednak nie podnoszą, więc w Lamidandzie zostajemy na noc w lokalnej bazie noclegowej. Według naszych przyzwyczajęń i oczekiwań trudno byłoby to miejsce nazwać hotelem, jak dumnie głosi umieszczony na budynku napis.

Nowy dzień, oprócz nieznacznej poprawy pogody w rejonie Lukli, przynosi nam przelot niewielkimi, pięciosobowymi helikopterami do Surkhe, wioski położonej 600 metrów (wysokości bezwzględnej) poniżej Lukli. Po przylocie dowiadujemy się, że duże wojskowe helikoptery wysłane do Lukli, by ewakuować choć część turystów,

musiały zawrócić do Katmandu. Lukla w dalszym ciągu jest zamknięta i wszyscy, którzy chcą się z niej wydostać, mają do wyboru dwie możliwości: iść do wioski Jiri (5 dni marszu), a później w ciągu kolejnego dnia dojechać autobusem do Katmandu. Druga opcja to zejść do Surkhe, skąd mogą przy dużej dozie szczęścia i za dodatkowe 360 dolarów od osoby odlecieć helikopterem. Wisząc nad polem przekształconym w prowizoryczne lądowisko, widzimy zwartą ludzką masę, która gdy tylko lądujemy, dopada helikoptera i, nie zważając na nas, usiłuje wejść do kabiny, z której my jeszcze nie wyszliśmy. To reakcja ludzi, chcących za wszelką cenę dostać się do Katmandu, doprowadzonych do ostateczności faktem, że ich urlopy już się skończyły (lub kończą), a bilety na lot powrotny do kraju przepadły (lub niebawem przepadną). Lądujemy i czujemy się naprawdę szczęśliwi, że już jesteśmy



FOT. JANUSZ KAPARSKI

w górach i możemy rozpocząć wędrówkę po najbardziej kultowym wysokogórskim szlaku świata. Przez 3 kolejne godziny podchodzimy w górę, do Lukli, leżącej wyżej niż nasz najwyższy szczyt, Rysy. Ulice wypełniają tłumy turystów pełnych nadziei, że nastąpi poprawa pogody. Tymczasem zaczyna padać. W lekkim deszczu idziemy dalej, do Phakding, miejsca naszego pierwszego noclegu. Mamy 24-godzinne opóźnienie w stosunku do zaplanowanego programu.

ZAKWASIĆ KREW

Następnego dnia Himalaje pokazują nam swoje piękno. Po chmurach, mgle i mżawce nie ma ani śladu. Nad nami rozciąga się błękitne, bezchmurne, słoneczne niebo. I tak już będzie przez kolejnych dziewięć dni.

Ścieżką prowadzącą do samego serca najwyższych gór świata wędruje wyjątkowo mało turystów. Zawdzięczamy to warunkom pogodowym, które zablokowały setki osób w Katmandu. Mniejsza ilość turystów pozwala nam jeszcze intensywniej

CZEKAJĄC NA ODLOT

Na trawiastym lotnisku w Lamidandzie czekamy na dalsze połączenie – jeśli się uda to do Lukli (samolotem) lub do Surkhe (helikopterem).



FOT. JANUSZ KAFARSKI

WIEMY, CO WIDZIMY

Z prawej strony szczyt Ama Dablam. Ośnieżony masyw ze skalnymi szczytami i zboczami, z których związało śnieg to Lhotse i jego południowa ściana, na której zginął w 1989 roku Jerzy Kukuczka. Skalna grań, która wydaje się biec od wierzchołków Lhotse w lewo to masyw Nuptse. Spoza niego „wystaje” wierzchołek Everestu (dokładnie nad nim wisi chmura).

odczuć piękno tego rejonu. Wybierając się do bazy pod Everestem, nie można oczekiwać, że będzie się wędrować przez bezludne Himalaje. To marzenie, które w tym rejonie raczej się nie spełni, bo co roku ciągną w to miejsce tysiące turystów.

Przejsię szlaku nie przedstawia żadnych trudności technicznych ani nie jest specjalnym wyzwaniem w kategoriach górskich. Trzymamy się naszego planu i w czasie wędrówki robimy dwa przystanki aklimatyzacyjne. Jeden w Namche Bazar, drugi w Dingboche. Podczas wycieczki aklimatyzacyjnej powyżej Namche Bazar (do wioski Khumjung i Everest View Hotel, leżących na wysokości 3880 m n.p.m.) nie tylko lepiej dostosowu-

jemy organizm do wysokości, na której będziemy dalej wędrować, ale także podziwiamy wspaniałą panoramę Everestu, Nuptse, Lhotse, Ama Dablam i Thamserku. Parę dni później w czasie drugiego przystanku aklimatyzacyjnego wchodzimy na wzniesienie Nangkar Tshang, powyżej Dingboche, na wysokość 5075 m. Stąd podziwiamy dolinę rzeki Imja Khola, lodowce – Lhotse, Imja, Chhukhung i Ama Dablam oraz wierzchołki Island Peak (6189 m), Cho Pholu (6734 m), Makalu (8485 m), Baruntse (7220 m), Chhukhung (6246 m) i nieprawdopodobnie malowniczy z tego miejsca Ama Dablam (6812 m) z błękitnymi jeziorami i lodowcem Duwo u jego stóp.



W międzyczasie szlak zaczyna się coraz bardziej zaludniać. To ci, którzy dzięki poprawie pogody przylecieli do Lukli, rozpoczęli wędrówkę i powoli nas doganiają. W większości wypadków, by nadgonić stracony czas, zrezygnowali z zalecanych przystanków aklimatyzacyjnych, stosując w zamian Diamox, preparat zakwaszający krew, który pozwala na przyspieszenie procesu aklimatyzacji. Zwiększająca się ilość turystów oznacza problemy z zakwaterowaniem. W Nepalu, w hotelach, lodge'ach, tea house'ach i schroniskach, które leżą na szlakach trekkingów, obowiązuje zakaz dokonywania i przyjmowania rezerwacji. Panuje zasada – przychodzisz pierwszy to masz pokój, przychodzisz ostatni – śpisz tam, gdzie jest miejsce. W sezonie, a listopad to wysoki sezon, zdarza się, że jedyne miejsca, które zostają jeszcze wolne to podłoga w jadalni. Oczywiście, nie dotyczy to wypraw

trekkingowych, które zorganizowane są w oparciu o własną bazę namiotową. Wiadomo też, że od każdej zasady są odstępstwa. W naszym przypadku gwarancją, że we wszystkich schroniskach będziemy spali w pokojach, jest nasz przewodnik. To Szerpa, na co dzień mieszkający w Khumjung, który od ponad dwudziestu lat prowadzi ludzi w góry, pięciokrotnie był na Evereście i paru innych ośmiotysięcznikach, a z miejscowymi hotelarzami jest za pan brat.

TAM, SKĄD WYRUSZAJĄ ZDOBYWCY

Ósmego dnia wędrówki docieramy do pierwszego wytyczonego celu, czyli najwyżej położonego miejsca w trakcie naszego trekkingu – na Kala Pattar, Czarną Skałę (5545 m), najsłynniejszą grań widowiskową w Himalajach, z której rozpościera się ma-

PANORAMA Z NANGAR TSHANG

Najwyższy na zdjęciu ośnieżony szczyt to Ama Dablam (6812 m n.p.m.), schodzi z niego lodowiec Duwo tworząc dwa błękitne polodowcowe jeziorka. Widać też dolinę Imja Khola (rzeki Imja). Po prawej stronie, w oddali rysują się szczyty Kangtega i Thamseku. Po lewej stronie zdjęcia widać lodowce oraz ośnieżone szczyty Makalu, Kangchungtse, Baruntse, Cho Pholu i Island Peak.



Magdalena Ługin
Biuro Ubezpieczeń Indywidualnych Ergo Hestii

Wyprawa w góry może być traktowana przez towarzystwa ubezpieczeniowe jako sport wysokiego ryzyka. Warto więc pamiętać o trzech elementach, gdy zastanawiamy się nad ubezpieczeniem na czas ekspedycji górskiej:

Po pierwsze, warto sprawdzić, czy ubezpieczenie na czas podróży obejmuje również wspinaczkę. Nie zawsze tak jest, dokupienie tej opcji, choć oznacza zazwyczaj wyższą składkę, jest konieczne. Inaczej ochrona może być niewystarczająca!

Po drugie, jeśli wybieramy się w tereny w górach niedostępne dla zwykłych turystów, powinniśmy sprawdzić, na co będziemy narażeni. Oczywiście, grozić nam może kontuzja związana z samą wspinaczką, i o tym z reguły myślą wszyscy alpinisci, dobierając zakres ubezpieczenia. Ale warto również sprawdzić czy ubezpieczenie obejmuje udział w akcji ratowniczej np. helikoptera? Czy pokryje koszty specjalistycznych operacji?

Po trzecie, doświadczenie w ubezpieczaniu podobnych ekspedycji uczy, że nie warto oszczędzać. **Polisa na taką wyprawę nie może być ani tania, ani standardowa** – jak ta, którą kupujemy, jadąc na tydzień na plażę nad Morze Śródziemne.



CZEŚĆ KLEJNOTOWI W LOTOSIE

Wioska Khumjung. W tle wznosi się szczyt Thamserku.

Na pierwszym planie widać kapliczkę, a przed nią kamień pokryty rzeźbionymi tekstami tybetańskiej mantry „Om Mani Padme Hum”.

FOT. JANUSZ KAFARSKI

lownicza panorama obejmująca zachodnią ścianę Everestu, Nuptse i lodowiec Khumbu. Naszą uwagę zwracają chmury powoli wypełniające doliny rzek, którymi biegnie szlak wędrowki. Następnego dnia osiągamy najdalej położone miejsce na naszej trasie, gdzie w sezonie wspinaczkowym rozstawiane są namioty wypraw atakujących Everest. Poza sezonem, gdy po namiotach nie ma już śladu, miejsce to można rozpoznać po olbrzymim kamieniu obwieszonym modlitewnymi chorągiewkami, na którym ktoś czarnym flamastrem napisał „Everest Base Camp” (5364 m).

Po sesji pamiątkowych zdjęć wracamy do Gorak Shep. Przez parę kolejnych dni kontynuujemy wędrowkę w dół. Główne tematy rozmów przez tych parę dni dotyczą tego czy wylecimy z Lukli zgodnie z naszym harmonogramem. Chmury, które obserwowaliśmy z Kala Pattar, były zwiastunem kolejnej zmiany pogody, która zablokowała ruch lotniczy pomiędzy Luklą a Katmandu na trzy dni, a liczba sfrustrowanych turystów czekających na wylot wzrosła do sześciuset.

Następnego dnia po dotarciu do Lukli pogoda ponownie poprawiła się. Wznowiono loty, dzięki czemu kolejne dni, będące rezerwą czasową, mogliśmy poświęcić na eksplorację Katmandu.

MOŻNA SZYBCIEJ

Nasza wędrowka z Lukli pod Everest i z powrotem trwała 12 dni. Po powrocie do Katmandu czytamy w lokalnej prasie, że został ustanowiony nowy rekord świata w biegu pomiędzy Everest Base Camp a Katmandu. Trasę tę, liczącą 320 kilometrów, pokonała brytyjska biegaczka Elizabeth Hawker w czasie 2 dni, 23 godziny i 25 minut, bijąc poprzedni, ustanowiony także przez siebie rekord (2007 rok – 3 dni, 2 godziny i 39 minut).

Dotrzeć do bazy pod Everest i wrócić do Katmandu można także szybciej i bardziej komfortowo – w jeden dzień. Jest to opcja bardzo kosztowna, ale też bardzo atrakcyjna pod względem widokowym. Wczesnym rankiem wylatujemy więc helikopterem z Katmandu. W czasie lotu zachwyca nas fantastyczna panorama najwyższych gór świata, z Everestem na czele. Lądujemy w Gorak Shep, u stóp Khumbu i Everestu. Przechodzimy wzdłuż lodowca i docieramy do Everest Base Camp. Robimy pamiątkowe zdjęcia przy kamieniu z chorągiewkami, a następnie wracamy do lądowiska dla helikopterów. Wracamy do Katmandu, z międzylądowaniem w Lukli w celu uzupełnienia paliwa. Można też w drodze powrotnej zatrzymać się na noc w najwyższym położonym hotelu świata, luksusowym Everest View Hotel, w którym gości mają w pokojach do dyspozycji także butle z tlenem, a do Katmandu wrócić następnego dnia. ○

**ERGO
HESTIA®**

Zapewniamy
Klientom poczucie
bezpieczeństwa

www.ergohestia.pl



kultowe TREKKINGi

www.travel-partner.com.pl

EVEREST BASE CAMP
Z
TRAVEL PARTNER
ALICJA KAFARSKA
www.travel-partner.com.pl



**travel
partner**

ul. J.H.Dąbrowskiego 67
60-523 Poznań
Tel. 00 48 61 841 13 52



Obciąłem dziecku włosy. Syn to przeżył, a zresztą kto smarkaczowi zabroni w czapce w przedszkolu siedzieć?

SPOŁECZNA ROLA FRYZJERA



FOT. SHUTTERSTOCK

zaczyna zadawać setki pytań. Owszem, mówi też sporo – oj, jak sporo – o sobie, ale jest też ciekawa Waszej opinii. Ale sobie nie pogada. Nie to, co fryzjer.

Ten owszem, pogada. A że zawsze ma czas, by języka zasięgnąć, wszystkie plotki poznać i w dodatku siedzi w zamknięciu, to chętnie sobie czas pogawędką urozmaici. A i klienci to lubią, to i się swą wiedzą i przemyśleniami dzielą, więc jest nasz fryzjer wzorcowym wprost reprezentantem mądrości ludowej.

Ja wiem, że fryzjerzy to temat wciąż nośny, zwłaszcza odkąd mają w rządzie tak mocnego protektora jak minister Joannę Muchę, która nie tylko koafiturami imponuje, ale i potrafi ich twórców na dyrektorskie wynieść stolce. Jednak przestrzegalbym Państwa przed tanią kpina – fryzjer to fach niedoceniany, a jego społeczna, tak właśnie: nie usługowa, nie estetyczna, a społeczna rola jest tyleż potężna, co niedoceniona. A ja doceniam. Wzięło mnie się to z czasów młodości, gdy uprawiałem zawód reportera. Nikt mi tyle o Lwówku Śląskim, Ciechanowie czy Sejnach nie powiedział, co fryzjer. Konkurować z nim może jedynie taksówkarz, ale on zasługuje na epos całkiem odrębny.

W jednym ze swych reportaży z książki „Żadna zabawa dla chłopaków” Rafał Smoczyński opisywał małe miasteczko z początku lat 90., czasów takiej transformacji, jak i chaosu. Jedną z ostoi jakiegokolwiek porządku w miasteczku był fryzjer – gawędziarz, od pokoleń strzygący tak samo: „na koko”. Mnie to przypomniało wizyty u fryzjera sejmowego. Miły ten dżentelmen, z niewyjmowalnym papierosem w ustach, pytał grzecznie jak obciąć, by potem strzyć każdego tak samo – na premiera Pawlaka.

Podobną przygodę przeżyłem też w zambijskim Kabwe. W poszukiwaniach lokalnego fryzjera trafiłem aż na miejsce, z którego odjeżdżały lokalne minibusy i półciężarówki. Niby miał tu być gdzieś, ale jakoś dostrzec go nie mogłem. Wreszcie zaprowadzono mnie do chłopaka, który przedstawił się jako „barber”, usadził na krześle, na wieszaku obok postawił lustro i salon pod chmurką był gotowy.

Mój mistrz fryzjerski wziął w rękę maszynkę – bo nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się przedłużacz i pociągnięto prąd – i zabrał się do dzieła. Speszony był wielce, bo jak mi wyznał, nigdy w życiu nie obcinał białego, a te nasze włosy... Po chwili obserwował nas całkiem pokaźny tłumek podróżnych i gapiów. Z rozbawieniem komentowali poczynania coraz bardziej zestresowanego fryzjera. Od śmierci na zawał uratowała go moja prośba, by już nie psuć tej reszty, która mi na głowie została i wyrównał maszynką mniej więcej do wysokości jednego centymetra. Na koniec przerażony młodzian wziął wąż, którym myte były ciężarówki, wsadził moją głowę pod wodę i po chwili było po wszystkim. „Jezus Maria!” – przywitał mnie znajomy misjonarz, ale złożmy ten akt strzelisty na karb jego pobożności.

Spotkanie to, choć niezapomniane, niewiele wniosło do mojej wiedzy o świecie.

Znacie to Państwo: przychodzicie do dentysty, siadacie, przemiła pani upycha wam w ustach roczne zużycie waty i ligniny średniego państwa afrykańskiego, w wolne miejsca w paszczy wpycha kilka ssawek, upycha wiertła i zaczyna. Zaczyna konwersację. Pierwsze pada sakramentalne pytanie: „Kto Panu te zęby robił?!”. I na nic zdaje się Wasze tłumaczenie na migi, że nie, to nie kowal, że podobny do pani dentysta, i że zapłaciłście za to jak za zboże. Niezrażona waszym milczeniem dama

Inaczej było u fryzjera w malawijskim Blantyre. Co prawda jego maszynka co chwila się psuła, trzeba ją było oliwić, buchał z niej dym i obawiałem się, iż skończy się to wreszcie tym, iż wyleje mi ów olej na głowę, a iskry z maszynki uczynią z niej palenisko, ale nic takiego się nie stało. Za to mój cudotwórca przez cały czas zabawił mnie nie tylko obserwacjami na temat polityki malawijskiej („Wszyscy kradną”), natury światowego kapitalizmu („Wszyscy kradną”) i stosunków międzyludzkich – tak, domyślili się Państwo. Uroczą puentą byłoby, gdyby zniknął z moimi pieniędzmi, które wziął, żeby rozmienić, ale nie, wrócił. A więc nie wszyscy kradną.

O polityce nasłuchiwałem się też, choć dopiero za trzecią wizytą, u pewnego golarza w Bagdadzie. Było to jeszcze za Saddama, więc rozmowy polityczne, zwłaszcza z cudzoziemcem, mogły się dla niego źle skończyć, toteż rozpoczął je z pewną taką nieśmiałością, którą przełamała dopiero wieść, że jestem kibicem piłkarskim. Gołąc mnie codziennie brzytwą (nie znał strachu przed AIDS i gardził jakimiś jednorazowymi nowinkami) przerzucał się płynnie z pytań o polską ligę (przysięgam, znał się na niej lepiej niż ja, a były to czasy raczkującego ledwie internetu) do znacznie mniej wesołych opowieści o reżimie Saddama.

Niepomny, iż wizyty u fryzjera mają sens poznawczy tylko wtedy, gdy da się z nim nawiązać jakikolwiek kontakt werbalny (czytaj: gdy mówi on przypadkiem

po angielsku) swe pierwsze kroki w Teheranie tuż po wyjściu z hotelu skierowałem właśnie do fryzjera. Wizyty tej po niekąd potrzebowałem – spędziłem 48 godzin w podróży autobusem ze Stambułu, w hotelu wziąłem prysznic, ale ogolić już się nie dało, bo ogłoszono awarię w dostawie wody. Cóż było robić, poszukałem fryzjera, który przyjmował w zasadzie na podwórku czegoś w rodzaju teherańskiej kamienicy. Z miejsca stałem się gigantyczną atrakcją towarzyską, bo zmagania golibrody z moją czupryną śledziło, nie przesadzam, kilkunastu dorosłych i pewnie jakaś kopa dzieciarni. Pewną trudność nastęrczał dramatyczny brak wspólnego języka, bo tubylcy znali wyłącznie farsi, ale jakoś to przeżyłem. A moja fryzura?

No cóż, nie fryzura jest przecież najważniejszym efektem pobytu u golibrodów, fryzjerów i cyrulików maści przeróżnej, a wiedza jaką z nich wynosimy. Dlatego czuję się trochę winny. Strzygąc własnoręcznie czteroletniego syna, nie tylko oszpeciłem chłopaka, ale, co gorsza, pozbawiłem go atrakcyjnej wizyty. A przecież u pana Adama są takie fajne gazety z motorami... ○



FOT. SHUTTERSTOCK

Odkrywaj z nami świat na WYPRAWACH TRAMPINGOWYCH i zobacz **zaćmienie Słońca!**

Jerzy Arsoba i Tomasz Czarnecki zapraszają do udziału w niezwykłych fotograficzno-astronomicznych wyprawach:

maj 2012 - obrączkowe zaćmienie Słońca nad kanionami **USA** i w **JAPONII**
listopad 2012 - całkowite zaćmienie Słońca w **AUSTRALII** (z **NOWĄ ZELANDIĄ**)

Więcej wypraw i informacji na stronach: eclipses.eu i arsobatravel.pl

TELESKOPY.NET



tel:
500 607 789
604 443 041

IMPERIUM

Robert Robb Maciąg

Z BAWELNY





SMAKI ORIENTU

Na bazarze w Samarkandzie wciąż krzyżują się szlaki handlowe Azji. Sprzedawane są tu nie tylko lokalne warzywa, ale i przyprawy z odległego Damaszku.

Bucharski Registan, czyli rynek, został zaanektowany przez cinkciarzy. W kraju, gdzie bankomaty wprawdzie są, ale turystom i tak wydają tylko dolary, ich praca jest wyjątkowo potrzebna. Cinkciarz najpierw pyta, ile dolarów chcemy wymienić, podaje swoją cenę, a następnie daje nam odliczone pieniądze, byśmy przeliczyli, czy aby na pewno wszystko się zgadza. Dopiero potem bierze od nas dolary.

Wśród meczetów i medres – koranicznych szkół – krył się niegdyś bazar, gdzie od świtu do zmierzchu rozbrzmiewało mruczenie tłumu. Stragany ugięły się od arbuźów, winogron, moreli, brzoskwiń, jabłek i śliwek – to wszystko w mieście otoczonym przez pustynię. Dziś nie ma już tego bazaru i nie ma takich arbuźów. Dziś trzeba uważać, by się nimi nie zatruć. Są ogromne, często nawet ośmiokilogramowe, soczyste i... pełne pestycydów. Biegunka to najłżejsze, co może się przytrafić łakomym turystom, którzy ulegną ich urokowi. Miejscowi jedzą ich niewiele, w obawie przed poważnymi zatruciami, o których czytają w gazetach.

TANIO JAK ZA ŚNIEG

Niegdyś wśród straganów stały małe piecyki, na których parzyła się powoli herbata. Pito ją na wiele sposobów: z cukrem, z mlekiem, z masłem, z solą – jak kto lubił. Ale przede wszystkim zieloną. Można tu było kupić tytoń i fajki, ale nie wolno było palić na ulicach. Gdy przyłapano nałogowego nieszczęśnika na paleniu, zaciągano go przed sędziego i zazwyczaj biczowano lub obwożono po mieście na osle, z osmoloną twarzą. Pomiędzy herbatą z Chin, przyprawami z Filipin i cukrem z Indii, można tego miasta, jak i żebracy, stali razem w kolejce do kopczyków taniego śniegu, którym schładzali wodę czy

sok z winogron. Dziś na starym bazarze stoją stragany z pamiątkowymi figurkami, czapkami, kilimami, nożami i wszystkim, co turyści mogą zabrać ze sobą do domu.

TĘTNIĄCA ŻYCIEM SADZAWKA

Wieczorami, gdy ukryte w arkadach medres i meczetów stragany znikają, gdy ta pamiątkowa pozostałość po niegdyś wspaniałym bazarze chowa się, całe życie starego miasta przenosi się na plac z niewielką sadzawką. Nazywają go Lyabi-Hauz, czyli właśnie „Nad sadzawką”. Okalają go ogromne

li kanały łączące miasto z rzeką. W najgorszych przypadkach, a zdarzały się takie regularnie, świeża woda pojawiała się w mieście co cztery tygodnie. Wówczas gromadzono ją właśnie w sadzawkach. Rozwijały się w nich, zbierając bezlitosne żniwo, choroby, jak ta wywołana przez risztę – obrzydliwego pasożyta osiągającego nawet metr długości, gnieźdzącego się pod skórą i żywiącego się ludzkim ciałem. Tej samej wody używano do picia, gotowania i mycia się przed modlitwami. Średnia długość życia nie przekraczała w mieście 40 lat.

Dziś życie tętni wokół sadzawki. Dobre jeźdzenie, spacer, muzyka i śpiew. Totalna bez troska



medresy i restauracyjne ogródki, a na scenie, przy pomniku Mułły Nasreddina, zawsze coś się dzieje. Na przykład tańce albo koncerty. Uzbekcy turyści próbują zaprzyjaźnić się z tymi z Zachodu. Często stają serem, somsami, ale przede wszystkim piwem.

Problemem Bucharu zawsze była woda. Gdy Rosjanie zajęli Samarkandę, mogli łatwo nękać niepokorną Bucharę, zakręcając jej wodę. Wystarczyło, by zablokowa-

i wieczorne zapomnienie. Tak się złożyło, że z całej naszej grupy turystów tylko ja dukałem coś po rosyjsku i to na mnie skupiła się uwaga Uzbeków, kiedy inni bawili się przy kolejnych piwach, ja walczyłem z brakami w języku. Moi rozmówcy wierzyli, że rosyjski mam w małym palcu i porozmawiamy nie tylko o banałach, ale i filozofii życia, wszechświecie i całej reszcie. Nawet nam się to udawało, pomagało piwo.

ZAMIAST SATURATORA
W upalne dni arbuzy
orzeźwiają lepiej niż
gazowana woda.



RADOSNY JAK UZBEK

Tu każdy mówił do mnie „Bracie” i pytał „Kak u was w Polsce?”

PRZYBYSZE Z BABILONU

W pewnym momencie podeszła do mnie starsza pani:

– *Ja jestem Żydówką, wiesz? – zagadnęła. – Ciężko nam się tutaj żyje. Zawsze tak było, ale teraz prawie wszyscy wyjechali. Do Ameryki i Izraela. Tylko kilka rodzin zostało. Jak do Uzbekistanu przyjechał Clinton, to z nim była taka dziewczyna, Rachel. I ona tu do nas przyjechała i robiła nam zdjęcia, i do Ameryki zabierała. Dawno temu, ale pocztówkę przysłała.*

Po raz pierwszy Żydzi zaczęli pojawiać się w Bucharze już w VII wieku p.n.e. Przybyli prosto z Babilonu i gdy trzysta lat później Aleksander Wielki przejeżdżał przez miasto, było ich tak wielu, że zauważyli to nawet jego historycy. Na początku VIII wieku n.e. Bucharę podbili Arabowie, narzucając swój język i religię. Przez ponad tysiąc lat miasto pełniło w świecie muźelmańskim niemal tak istotną funkcję, jak Mekka. W świętym mieście islamu, Żydzi nie mieli łatwego życia. Musieli nosić złotoczarne ubrania, by wyróżniać się z tłumu. Gdy płaćcili roczny podatek, na „do widzenia” otrzymywali

policzek od urzędnika. Oczywiście, publicznie. Bo Bucharze mogli się przemieszczać wyłącznie pieszo. Gdy lata później do Buchary wkroczyła Armia Czerwona, chętnie poparli komunizm, wierząc, że przyniesie im równość. Nowa władza szybko zapomniała o ich zasługach.

BAWEŁNA NA STEPIE GŁODU

Niegdyś pomiędzy Samarkandą a Taszkentem rozciągał się wielki step. Wszyscy się go bali. Pierwsi żołnierze rosyjscy, którzy przybyli do Uzbekistanu pod koniec XIX wieku jako najeźdźcy, nazwali ten obszar stepem głodu. Woda wsiąkała w piach i nic po niej nie zostawało.

Dziś *galadną* pokrywa sieć kanałów. Takich większych, szerokich na kilka metrów, w których obficie płynie woda, oraz mniejszych, betonowych rynien nawadniających pola bawełny i przydomowe ogrody, w których można się też spokojnie wykopać.

Za czasów ZSRR, Rosjanie zarządzili całkowitą restrukturyzację rolnictwa i kolektywizację go-



ZAŁĘK NOŻOWNIKÓW

Warsztaty wytwórców noży na tashkenckim bazarze.

spodarki. Zbudowano tu kolchozy, nauczono ludzi, jak korzystać z melioracji, pestycydów, i obsadzone wszystko bawełną. Roślina wygląda niepozornie. To zielony krzaczek, wysoki może na metr, obrośnięty białymi kępkami. Widać go niemal na każdym kroku. Nie tylko na sięgających po horyzont polach, ale także we wzorach na bucharskiej porcelanie, na obrazach zdobiących betonowe przystanki autobusowe i na pomnikach stojących w szczerym stepie.

Uzbekistan jest trzecim światowym eksporterem bawełny. W 2010 roku wyprodukował jej prawie 3,5 miliona ton. W czasach radzieckich mieli tu kombajny i większość bawełny zbierali właśnie nimi – dziś aż 90 procent zbiera się ręcznie. Każdego roku, we wrześniu, gdy bawełna gotowa jest do zbioru, w Uzbekistanie zamyka się szkoły. Tak jak kiedyś w Polsce ziemniaki, tak tutaj dzieci jadą zbierać bawełnę. Nie tylko nastolatki, ale i maluchy, czasem i te z pierwszych klas podstawówki. Dzieci, które mieszkają niedaleko pól, wracają na noc do domów. Te, które przywieziono tu autobusami z daleka, śpią w namiotach, starych budynkach lub szkołach.

TURYSTYKA REJESTROWANA

Uzbekistanem rządzi Islam Karimow, który panuje od 1989 r., najpierw jako komunistyczny sekretarz, a od 1991 r. jako prezydent. Rządzi silną ręką, a mimo to nie spotkaliśmy w Uzbekistanie człowieka, który powiedziałby o nim złe słowo. „Daje pracę, dzięki niemu nie ma wojny” – mówią. Rządowi silnej ręki są poddawani nie tylko Uzbegy. Karimow nie lubi, by turyści poruszali się niekontrolowani po jego kraju. Daje im wize, ale każe codziennie rejestrować się w hotelu. W wielu miejscach jednak hoteli nie ma. Można przepaść się u miejscowych, ale trzeba wykupić „rejestrację” za 20 dolarów na posterunku milicji.

Uprowadzono nas też, że aby kupić bilet na pociąg, trzeba pokazać i paszport, i rejestrację z hotelu. Straszono, że jeżeli turysta nie ma rejestracji, to następny hotel nie tylko nie ma prawa go przyjąć, ale nawet powinien wezwać milicję. Ta już sprawdzi, przepytta, hotelarza pochwali, a turyście wypisze mandat do tysiąca dolarów. Na granicy trzeba te rejestracje okazać i biada temu, kto ich nie ma lub ma ich za mało. My jednak przekroczyliśmy granicę uśmiechnięci, z głośnym: „Dzień dobry, jak u was”, i nikt nas nawet o te małe świstki nie spytał. ○

Robert Maciąg jest autorem książki „Tysiąc szklanek herbaty”. To opowieść o ludziach, którzy podążają jedwabnym szlakiem, i o tych, którzy żyją na jego trasie. O spotkaniach przy tytułowej herbacie, która jest zawsze tak gorąca, jak zaproszenie do domu.





W Brukseli, zdominowanej przez różne odcienie szarości, latają zielone papugi. Podobno stają się powoli plagą tego miasta, tak jak w Polsce miejskie dziki. Belgia to kraj surrealizmu, jak słusznie zauważył Benoit, mój przystojny nauczyciel francuskiego.



Małgorzata Kęsicka

Bruksela da się lubić

Dźwiękowa mapa tego miejsca byłaby mocno polifoniczna: w tak zwanym „małym ringu”, czyli sercu miasta, dzielnica murzyńska, Matonga, sąsiaduje z secesyjną Ixelles, gdzie znajduje się dom, w którym urodziła się Audrey Hepburn. Nieopodal, na St. Gilles (zamieszkiwanym chętnie przez naszych rodaków), mieszka Marta Argerich, sławna laureatka Konkursu Chopinowskiego z 1965 roku. Z kolei marokańskie, tureckie i arabskie klimaty są domeną dzielnicy St. Josse. Żeby spotkać ortodoksyjnych Żydów, należy

powąłęsać się w okolicach metra Schuman. Każda ze wspomnianych nacji posługuje się swoim językiem, słucha swojej muzyki. Dodajmy do tego jeszcze urzędową dwujęzyczność Belgii, podzielonej na Flandrię (język flamandzki, pokrewny niderlandzkiemu) oraz Walonię (język francuski) – i oto mamy współczesną wieżę Babel. Ulica, na której mieszkam, ma dwie nazwy – Hoogstraat i Rue Haute. Konserwatorium Królewskie ma dwie portiernie – jedną dla mówiących po francusku, drugą dla mówiących po flamandzku.

Nie ma jednej Brukseli, tak jak nie ma jednej Belgii. Odrębną rzeczywistość stanowią szkoła koraniczna na Maalbeek za placem St. Catherine i me-

czet w Parku Cinquantenaire, czarnookie kobiety otulone burkami, turecko-marokańskie krzyki i targowanie się w każdą niedzielę na rynku przy Gare du Midi. Obok istnieje świat szczupłych, anglojęzycznych eurokratów w okularkach i z teczkami, gnanych ambicją pięcia się wyżej i wyżej w hierarchii urzędniczej. To dla nich dostępne są w kioskach The Times, The Economist, Corriere della Sera i Le Monde. To oni masowo okupują po pracy kluby fitness lub knajpki przy Berlaymont. Jest jeszcze barwne grono artystów, wolnych strzelców, hipsterów, słowem pełen przekrój wielokulturowego społeczeństwa.

SIUSIAJĄCY CELEBRYTA

Gdzie znaleźć Belgów w Brukseli? Flamandzka, „nacionalistyczna” knajpa dla wtajemniczonych znajduje się nieopodal Parc Royal, na Rue de la Presse. Podają tam tylko swojskie piwa (brak tu „polish vodka”), mówią i myślą wyłącznie po flamandzku. To taka belgijska wyspa na tym wielokulturowym morzu, gdzie każdy naród znajdzie coś swojego. A już na pewno Polacy, których język rozbrzmiewa na budowach, w Parlamencie Europejskim, na uczelniach i pod mostami. Liczne polskie sklepy troszczą się o to, żeby nie zapomnieć smaku polskiego chleba, pierogów, pasztetu czy... paprykarsza szczecińskiego.

To nie była moja miłość od pierwszego wejrzenia – „stolicy Europy” daleko stylem i elegancją do innych wiodących miast kontynentu. To prowincjonalna krewna Paryża, Wiednia, Pragi czy nawet Warszawy. Trochę szara, nieduża, potrzebuje czasu i poznania, żeby ją polubić.

Trzeba wydeptać kilometry brukowanymi uliczkami, minąć tysiące wąskich, brudnawych, niepozornych (za to z kolorowymi drzwiami) kamieniczek, by od czasu do czasu ze zdumieniem odkryć perłę Art Nouveau, jak wille koło Parku Ambiorix czy dom Horty przy Rue Americane. Victor Horta to secesyjny architekt, który zaprojektował wnętrze pięknej sali koncertowej Bozaru (Palais des Beaux-Arts), gdzie obecnie grywają najlepsze zespoły europejskie.

Kto przyjeżdża do Brukseli, swoje pierwsze kroki kieruje nieopodal Grand Place, by podziwiać niepozorny kamienny posązek małego siusiającego chłopca. Manneken Pis czasem nagi, czasem przyodziany w jeden z wielu międzynarodowych strojów – widać, jego szafa pęka w szwach – jest niekwestionowanym celebrytą, dniami i nocami pozuje w błysku fleszy nie tylko azjatyckim turystom.



BRUKSELSKI ARRAS

Brukselski dywan kwiatowy na Grand Place układany jest co 2 lata z około 800 tys. płatków begonii. Zamieciony zostanie po czterech dniach.



Główny rynek miasta, jak wszystko w Brukseli, jest dość kameralny i swojski. Grand Place otaczają misternie zdobione kamienice, a wśród nich wyróżnia się kunsztowny ratusz, który ma własną legendę. Odebrał bowiem życie swojemu architektowi – ten rzucił się w dół z ratuszowej wieży, odkrywając brak symetrii i złotej proporcji swego dzieła. *Ars longa, vita brevis...*

NIEBIESKIE PTAKI I BIAŁE KOŁNIERZYKI

Każdy żyje w Brukseli swoim życiem – Turcy i Marokańczycy delektują się mocną i słodką herbatą dzień w dzień, od rana do wieczora, tocząc długie, mało dynamiczne rozmowy lub po prostu milcząc razem. Na Matondze Murzyni prowadzą nocne hałaśliwe życie w swoich ulubionych, licznych zakładach fryzjerskich. Obok odbywa się szczyt Unii Europejskiej, limuzyny korpusu dyplomatycznego prowadzone przez policyjną eskortę przemykają głównymi ulicami niczym widma. Flamandzka starszka, pomarszczona elegantka z biżuterią godną

angielskiej królowej i w kostiumie sprzed pół wieku, daje się prowadzić swojemu małemu, łaciątemu Jackowi Russelowi od kafejki do kafejki. Tam zaciąga się długo papierosem, obserwując przechodniów, po czym wychodzi, nie płacąc za kawę.

PARADA NA BOULEVARD ANSPACH

Bulwar nazwano na cześć Juliusa Anspacha, który w latach 1829-1879 był burmistrzem Brukseli.





EUROPEJSKA WIEŻA BABEL

Budynek Parlamentu UE. Dane na temat tego obiektu nie są ogólnie dostępne...

FOT. SHUTTERSTOCK



KULINARNA WIEŻA BABEL

Ulica Rue des Bouchers słynie z licznych restauracji oferujących specjały kuchni całego świata.

Często siadam na ławce w Parku Cinquantenaire w słoneczne sobotnie popołudnie i kimkolwiek jest ten, kto siedzi obok mnie, jest ciekawy. Ma w zanadru jakąś historię i chce mi ją opowiedzieć.

Na przykład Kostarykańczyk, który znalazł się tutaj 20 lat temu, by studiować wiolonczelę w Konserwatorium Królewskim. Wolny jak ptak,

teraz cieszy się słońcem, jesiennymi liśćmi, każdym dniem, nie dba o wiele. Pracuje to tu, to tam, trochę w ogrodzie u kogoś, trochę w kuchni, trochę przy remontach. Zdolny muzyk, jak przekonałam się ze zdumieniem po jakimś czasie, elokwentny i pełen życiowej mądrości, zbyt dobry, by grać w przeciętnych orkiestrach, zbyt słaby, by w tych najlepszych. A może po prostu miłośnik wolności, któremu za ciasno w garniturze i za duszno w krawacie?

O tym, co najważniejsze w życiu, rozmawiałam też z eleganckim czarnookim czterdziestolatkiem, który delectował się słońcem i swoim cygarem. Po pokaznym brzuszku, garniturze pierwszorzędnej jakości i drogim zegarku mogłam się domyślać, że to jeden z urzędników licznych Komisji Europejskich, Rady, Parlamentu lub NATO. Darmowy wykład o sytuacji społeczno-politycznej Europy i świata miałam gwarantowany.



STAROŚĆ W CENIE

Na Marolles w soboty i w niedziele małe sklepiki z antykami i drobiazgami nieznanego przeznaczenia obleżone są przez tłumy spragnionych egzotyki eleganckich pań i panów. Wtedy też podwoje otwierają liczne, uroczne, małe restauracje i kafejki. Na ulicach króluje jazz. Pchli targ, Brocante, na Place du Jeu de Balle – to królestwo chorych sprzętów, bibelotów sprzed pół wieku, rzeczy, których znaczenia i użytku można się tylko domyślać lub na nowo wymyślać.

CECHY BRUKSELI

Ratusz miejski wraz z przylegającymi do niego domami cechowymi z XVII wieku.



Starość w Brukseli ma sens, a co więcej – jest cenna. Wiekowe lustra, pianina przeżarte przez korniki i czas, nikomu niepotrzebne oprawki od okularów, stoły z trzema nogami – tutaj każdy chciałby je mieć. Patrząc na pomarszczonych staruszków, sunących przez Grand Sablon małymi kroczkami – miasto oddycha w rytmie powolnego bicia ich osiemdziesięcioletnich serc.

Obok powszechnych w całej Brukseli klimatycznych butików z modą vintage, istnieją przy rue A. Dansaert sklepy z najnowszymi kolekcjami młodych i awangardowych projektantów, absolwentów Sint Lukas lub Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Antwerpii, do której swoją drogą warto się przejechać, by podziwiać kreacje projektanta ze światowej czołówki Driesa van Noten.

Ja jednak zadawałam się nieodmiennie tym, co proponuje Gabriele w swoim butik przy Rue des Chartreux 27 w centrum Brukseli. Ubrania i akcesoria, jakie tam znajduję, to perełki stylu z prawie całego XX wieku, jak chociażby buty do tańca z lat 50. czy ślubne suknie, jakich nie powstydzilyby się nasze prababki. Gabriele jest czarującą ekscentryczką, historykiem sztuki, mamą jazzmana, któremu zawdzięcza oldskulowy, nowoorleański system audio w swoim atelier.

OJCZYŻNA SURREALIZMU

Belgia – ojczyzna smerfów i komiksów, Rene Magritte'a i Tootsa Thielemansa, kraj czekoladek,

muli i piwa – nie była w stanie przez dwa lata wybrać własnego rządu. Król Albert II i Królowa Eleonora są widowiskowi, ich obecność dodaje splendoru wielu wydarzeniom, ale monarchia belgijska to już tylko teatr. „Lekka odmiana anarchii” – tak określił chaos polityczny Belgii pewien tłumacz z Komisji Europejskiej, o żydowskim pochodzeniu. I znowu ten surrealizm.

Tymczasem pozostaje zadumać się nad wyborem: Tripel Karmeliet czy Delirium Tremens, a może Kwak ze swoim kuflem w kształcie klepsydry? A gdy już od zlocistego, mocnego trunku zaszumi w głowie, można zanucić, za Jacquesem Brelem, jak to Bruksela śniła, śpiewała i rozkwitała – a było to w czasach niemego kina. ○



WYWROTNY TRUNEK

Piwo Kwak w charakterystycznych klepsydrowych kufkach.

Po latach wymuszonego milczenia Libijczycy opowiadali dziennikarzom zagranicznym tragiczne historie swoich rodzin. Wykrzykiwali swoją nienawiść do dyktatora, przeklinali go, potępiali. Zrywali jego portrety, niszczyli wszystko, co się z nim kojarzyło. Dywan z jego podobizną deptali przed gmachem głównego sądu w stolicy powstania Bengazi. Budynek sądu stał się siedzibą władz rewolucyjnych.

Obalenie

ZDJĘCIA **Jakub Kamiński**/RZECZPOSPOLITA / TEKST **Jerzy Haszczyński**/RZECZPOSPOLITA

REWOLUCJA W LIBII

Rok temu Libijczycy przebudzili się do buntu. W sąsiednich krajach, Tunezji i Egipcie, rewolucje w ciągu paru tygodni zmiotły ze sceny politycznej długoletnich dyktatorów. W Libii, gdzie Muammar Kaddafi był okrutniejszy i sprawniejszy w usuwaniu przeciwników, walka trwała dłużej. I była krwawa. Zaczęło się 17 lutego, rewolucja szybko opanowała Cyrenajkę – wschodnią część Libii. Entuzjazm w miastach wyzwolonych spod władzy Kaddafiego był wielki. Wraz z fotoreporterem Kubą Kamińskim przez dwa tygodnie, na przełomie lutego i marca 2011, byliśmy w środku tych zdarzeń.



Wściekłość

Wyjątkowo zaciekle były walki o dwa leżące na wybrzeżu Morza Śródziemnego miasteczka w środkowej części wybrzeża, Bregę i Ras al-Unuf. Przez nie wypływa z Libii ponad trzy czwarte ropy naftowej. Kto kontroluje te dwa miasta, panuje nad Libią. Na początku marca toczyła się bitwa o Bregę. Bojownicy, wznosząc okrzyki nienawiści wobec dyktatora, czekali pod szpitalem na karetki z rannymi i zabitymi.

Dzień w dzień na bulwarze w Bengazi, przed gmachem sądu, demonstrowały tysiące Libijczyków. Kilkunastoletnia dziewczynka, której ojciec zginął w pierwszych dniach buntu, nawoływała do obalenia Kaddafiego.

Zemsta



Nie wszyscy zwolennicy Kaddafiego uciekli z Cyrenajki. Ci, co pozostali, nie byli widoczni. Ukryli się i atakowali z zaskoczenia. Wysadzili arsenał w Radzmie pod Bengazi. Wybuch był tak silny, że w okolicy pozostał tylko gruz i złom.

Odwet



Przeciwnicy Kaddafiego zbierali się pod siedzibą władz rewolucyjnych w Bengazi niezależnie od pory dnia. Także w nocy. W Cyrenajce nie było godziny policyjnej, którą dyktatorzy w sąsiednich krajach narzucali już o 15.00, mając nadzieję na ukrócenie buntu.



Władze rewolucyjne nazywały zabitych przez siły Kaddafiego męczennikami. W pierwszych dniach zginęły setki ludzi. Oddawano im cześć i modlono się za nich. Czasem na nadmorskim bulwarze w Bengazi.

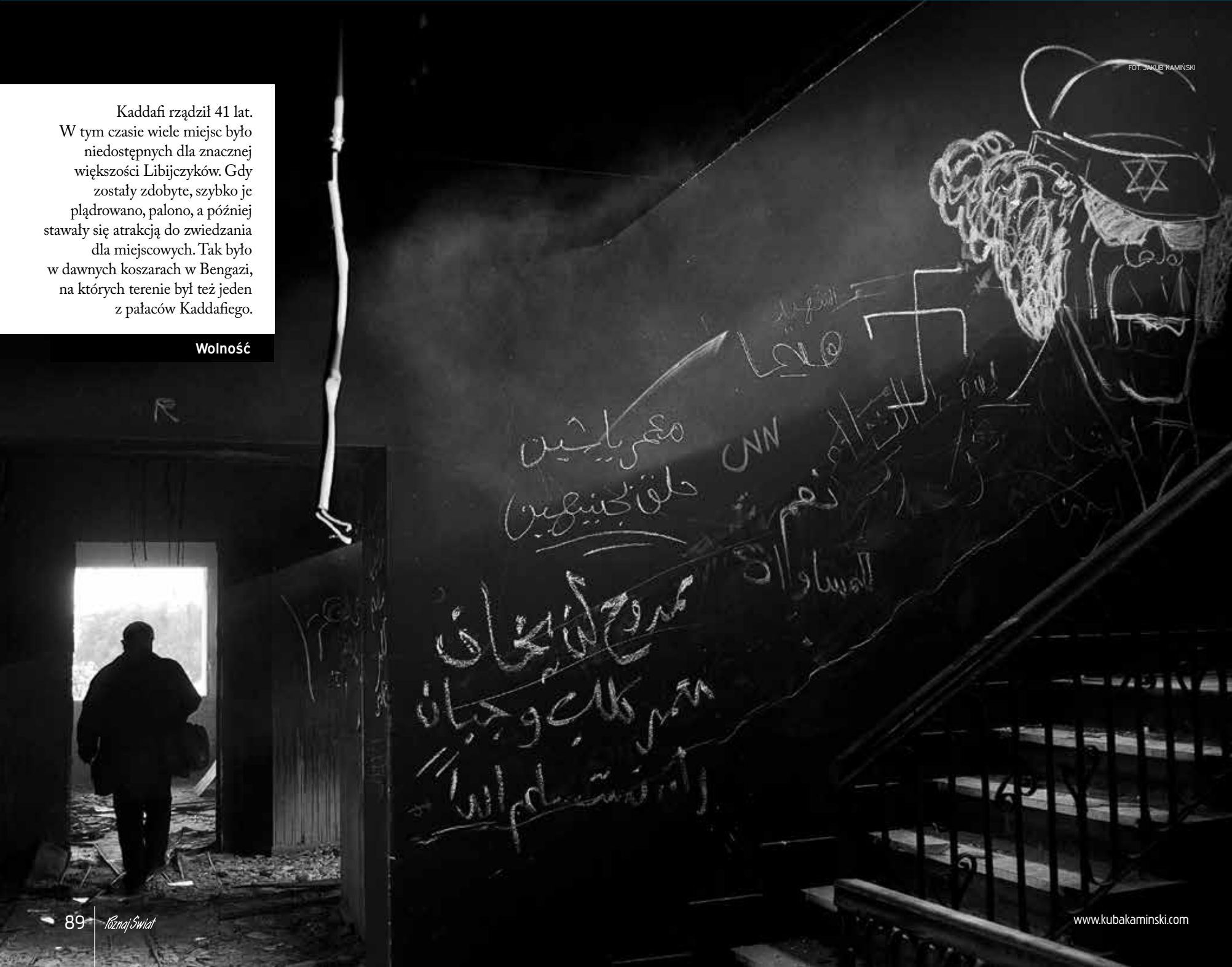
Rewolucjoniści byli słabo uzbrojeni, korzystali z broni pozostawionej przez oddziały dyktatora, ale często nie umieli jej obsługiwać. Szli do walki bez mundurów. Przez tygodnie najdalej wysunięte, skromne posterunki były w okolicach Ras al-Unuf.

Obrona



Kaddafi rządził 41 lat. W tym czasie wiele miejsc było niedostępnych dla znacznej większości Libijczyków. Gdy zostały zdobyte, szybko je plądrowano, palono, a później stawały się atrakcją do zwiedzania dla miejscowych. Tak było w dawnych koszarach w Bengazi, na których terenie był też jeden z pałaców Kaddafiego.

Wolność





FOT. KRYSTYNA SŁOWIK





NIEWOLNICY CZUWALICZKI

Krystyna Słomka

Mężczyzna stojący przy kuchni miał mocno spuchnięty policzek. Wydatna opuchlizna wskazywała na zaawansowaną dolegliwość zębów. Jednak z jego zachowania nie wynikało, by cierpiał. Wesóło pokrzykiwał na chłopców roznoszących po sali dymiące potrawy. Gdy w pewnym momencie zaczął nawet podśpiewywać, przyjrzałam mu się wnikliwie: jego oczy były bystre, choć podejrzliwie błyszczące, a twarz rozluźniona, bez śladu najmniejszej bolesti.



remu hołdują mieszkańcy wielu krajów arabskich i Afryki Wschodniej, znany też od Madagaskaru po Afganistan. Jednak jego stosowanie nigdzie nie jest bardziej rozpowszechnione niż w Jemenie, gdzie zyskał nawet status narodowej używki.

LEGALNY DOPALACZ

Koran zabrania spożywania alkoholu, zatem Jemeńczycy popadają w innego rodzaju nałogi: wypalają ogrom papierosów i nagminnie delektują się qatem, nie skrywając tej chorobliwej słabości. Na świecie bywa on używany na wiele sposobów: Etiopczycy z liści najczęściej sporządzają herbaciany napar, gdzie indziej przyjął się zwyczaj palenia suchych skrętów. W Jemenie zaś żuje się świeże liście qatu, przetrzymując w ustach zmiążdżone i zbite w gałkę ziele. Wspólne spożywanie czuwaliczki utrwala więzi społeczne, a „spotkania przy qacie” warunkują zawarcie korzystnego interesu i załatwienie każdej sprawy.

TOWAR WIELKIEJ POTRZEBY
Każda gałązka znajdzie swojego nabywcę, każdy listek zostanie przeżuty.

Zniekształcone oblicze miał także chłopak stawiający przede mną gorący półmisek. Cała sala pełna była mężczyzn, siedzących za długimi stołami bądź w kucki na matach, a wszyscy mieli mniej lub bardziej spuchnięte policzki! Szybko się okazało, że ten symptom „bólących zębów” jest w Jemenie wszechobecną przypadłością. Winowajcą jest czuwaliczka jadalna, roślina o łacińskiej nazwie *catha edulis*, zwana też *katha*, *qhat* lub *chat*, a w Jemenie znana jako *qat*. Jest to narkotyk, któ-

Czuwaliczka penetruje centralny układ nerwowy, a poprzez łagodną stymulację psychiczną i fizyczną organizmu, poprawia samopoczucie, usuwa zmęczenie i zwiększa koncentrację oraz wydolność umysłu. Uśmierza także głód, uspokaja i daje uczucie zadowolenia. Pod jej wpływem Jemeńczycy stają się odprężeni i nadzwyczaj rozmowni.



BIZNES PARTY
Spotkanie przy telefonie, kalkulatorze i czuwaliczce.

NARKOTYCZNE ŻNIWA

Catha edulis, znany już w starożytności, jest zimozielonym krzewem, który w stanie dzikim rośnie w Afryce Wschodniej i na Madagaskarze, na terenach położonych 1500 – 2500 m n.p.m. W Jemenie, na stokach Jabal Sabir, gdzie występuje duża ilość monsunowych opadów, zdarzają się giganty sięgające 10 metrów, ale uprawiana roślina zwykle nie przekracza 7 metrów wysokości.

Czuwaliczkę hoduje się w Kenii, Etiopii i Somalii, jednak najwięcej w Jemenie, gdzie chyba nie ma wioski, która nie miałaby własnego poletka. Qat to dla właściciela plantacji źródło całkiem okazałych dochodów, toteż kosztem kawy, pod jego uprawę przeznaczają się najżyźniejsze gleby. Sąsiadująca z Jemenem Arabia Saudyjska, przez wzgląd na działania uboczne używki (np. niepłodność), surowo zabrania zarówno jego uprawy, jak i spożycia.

Zapotrzebowanie na czuwaliczkę w Jemenie jest ogromne. Liście, będące przedmiotem konsumpcji, zbiera się trzy razy w roku. Najcenniejszy surowiec uzyskuje się przez delikatne odłamywanie czubków młodych pędów, które wiąże się następnie w niewielkie pęczki. Cenione walory zachowują one dzień, najwyżej dwa, od zerwania. Nie gardzi się też dłuższymi gałązkami, które zabezpiecza się przed wysychaniem, owijając liśćmi bananowca. Tym tańszym produktem zadowolają się ubożsi konsumenci, ewentualnie potrzebujący większej jego ilości dla osiągnięcia pożądanego stanu.

ZASPOKOIĆ GŁÓD

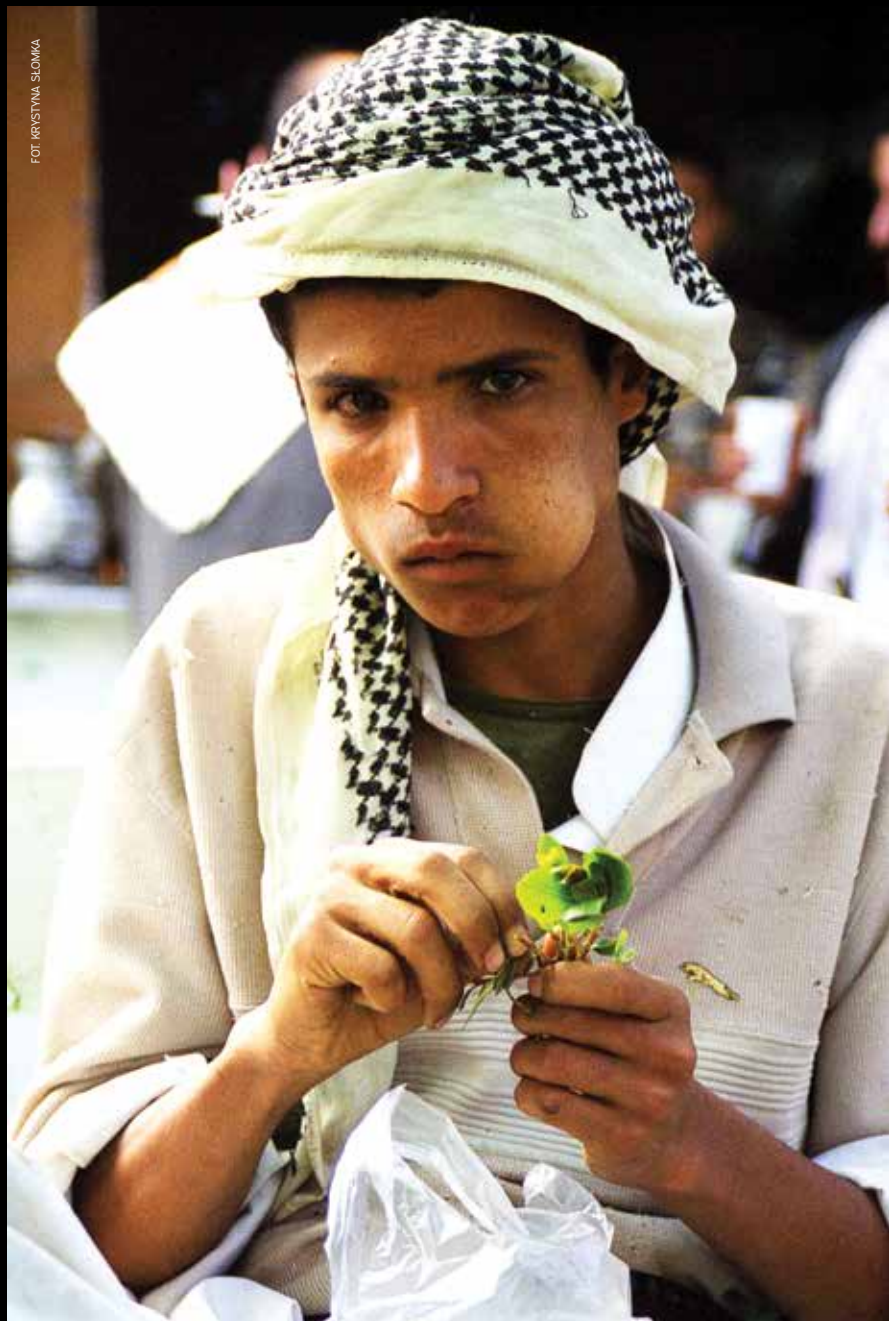
Rytuał mozolnego żucia rozpoczyna się wczesnym popołudniem, około godziny czternastej. Przez kilka godzin nałogowi oddają się wszyscy: mężczyźni, kobiety, a ponoć i starsze dzieci. Świeże liście żuje się porcjami, odsysając w ustach sok i gromadząc w policzku to, co z nich pozostało, dokłada się kilka listków, przeżuwa, odsysa – i tak godzinami. Im bliżej wieczora, tym policzki stają się bardziej wypchane, a twarz nabiera karykaturalnego wyglądu.

Zapewniano mnie, że czuwaliczka nie uzależnia, jednakże wielodniowe obserwacje utwierdzały w odmiennym przekonaniu. Na targu zniecierpliwieni mężczyźni kłębili się tylko tam, gdzie sprzedawano qat. Nasz jemeński kierowca oraz pilot już około południa zaczęli rozglądać się za miejscem gorącego posiłku, a po obiedzie zawsze znikali, by pojawić się dopiero po długim czasie, dzierżąc kilka zielonych pęczków lub takich wiecheć pod pachą. Powtarzało się to dzień po dniu.

Chciałam sprawdzić, za jakie doznania trwoniją sporą część otrzymanego od nas wynagrodzenia, więc zaopatrzona w niewielki pęczek, oddałam się żuciu. Nic z tego! Moja ignorancja ujawniła się już na wstępie. Wyglądające i smakujące jak liście laurowe zielsko qata szybko kruszyło się i rozpląywało w ustach, nie pozwalając zbić się choćby w najmniejszą grudkę. W jaki sposób krajowcom udaje się formować z niego gule wielkości kurzego jaja, nie dowiedziałam się nigdy. ○

PRZYMUS ŻUCIA

Ofiarą nałogu pada również młodzież.



FOT. KRYSZYNA SŁOWKA



Gdyby 1 kwietnia 1961 roku któraś z polskich gazet ogłosiła, że za 12 dni pierwszy człowiek poleci w kosmos, uznano by to niechybnie na żart primaaprilisowy. Bardziej prawdopodobna wydawała się wiadomość, którą tego dnia zamieścił „Głos Szczeciński” oraz ukazujące się na przeciwległym końcu Polski „Nowiny Rzeszowskie”. Powołując się na prestiżowy biuletyn „Wiedza i Technika” AR, z którego często korzystała prasa terenowa (tak wówczas nazywano dzienniki wojewódzkie), gazety te zapowiedziały rychłe rozwiązanie wielkiej tajemnicy Antarktydy. Niebawem mieliśmy się dowiedzieć, czy Biały Ląd jest kontynentem, czy też archipelagiem wysp, nakrytych wspólną czapą lodową. Problem ten pasjonował wówczas uczonych wielu krajów.

PRIMA APRILIS NA SZÓSTYM KONTYNENCIE

Tak się złożyło, że polscy naukowcy i technicy pracowali wówczas nad urządzeniem „Alfa”, przystosowanym do potrzeb telewizyjnej przemysłowej. O tym prasa informowała wcześniej. Wiarygodne wydało się zatem, że można je będzie umieścić na cybernetycznym „żółwiu”, mogącym poruszać się po morskim dnie z kamerami, podpatrującymi życie i krajobrazy podwodne Oceanu Południowego, otaczającego ze wszystkich stron Antarktydę. Redakcja biuletynu dowiedziała się, że kończą się właśnie przygotowania do wspólnej wyprawy czołowych polskich polarników z młodymi cybernetykami – twórcami hermetycznej

tankietki, przypominającej z wyglądu żółwia. Zamierzenia wyprawy zdradził jej kierownik, mgr inż. Teodor Kwiecień, który zaczął swą wypowiedź od przypomnienia, że równo 50 lat wcześniej jako pierwszy dotarł do bieguna południowego norweski uczyony Roald Amundsen na saniach zaprzężonych w psy. „Pragniemy powtórzyć jego wyczyn w zupełnie inny sposób” – zadeklarował. I poprosił o przyjrzenie się mapie szóstego kontynentu. Był bardzo przekonujący:

„Biały Ląd przypomina niekształtny liść egzotycznego drzewa. Do jego serca najbliższej jest z Ziemi Marii Byrd albo z Ziemi Wiktorii. Z tych dwu przyczółków zaatakowali

biegun południowy w 1911 roku wielcy badacze polarni Amundsen i Scott”.

Była to absolutna prawda historyczna. Scott wyścig do bieguna przegrał. „Nie chcemy powtarzać wyczynów wypraw, które zdobyły biegun przed nami. Chcemy zdobyć go inaczej, a jednocześnie przeciąć dyskusję, czy Biały Ląd jest kontynentem, czy archipelagiem. Nasz statek baza zarzuci kotwicę w zatoce McMurdo u brzegów Bariery Rossa w pobliżu wygasłego wulkanu Erebus. Tu opuścimy tankietkę na lód i rozpoczniemy podróż. Tankietka zanurzy się w lodowatych falach Morza Rossa i ruszy po dnie morskim ku biegunowi”.

Mapa trasy podwodnej tankietki, wypo-

Życie zweryfikowało fantazję

Jeszcze tego samego roku, 7 listopada, Czesław Nowicki jako pierwszy Polak odwiedził amerykańską stację badawczą na biegunie południowym. Często z uwagi na zbieżność imienia i nazwiska mylono go z popularnym przed laty telewizyjnym prezenterem pogody. Jeden i drugi był zresztą dziennikarzem. Polarnik Czesław Nowicki pełnił funkcję sekretarza redakcji naukowego miesięcznika „Problemy”. Nie korzystał jednak z podwodnego polskiego hehikułu. Łądownał na biegunie amerykań-

skiej do Antarktyki na statkach „Profesor Siedlecki” i „Tazar”, którą opisał w książce „Biało-czerwona u brzegów Antarktydy”. Nie zabrakło w niej również primaaprilisowego epizodu. Poprzedził go pewien żart, który miał miejsce u brzegów Georgii Południowej 10 marca 1976 r., gdy w fiordzie Cumberland West „Profesor Siedlecki” spotkał się z radzieckim statkiem „Akademik Knipowicz”, z którym poprzednio dokonał wymiany kilku naukowców, specjalistów od połowów ryb antarktycznych oraz kryla. Pożegnanie jednych i drugich było na obu statkach wylewne. Zwłaszcza na statku rosyjskim, na którym ponoć przerekyfikowano nieznaną bliżej ilość laboratoryjnego spirytusu. Na polskim grzano piwo z żółtkiem, bo pogoda się psuła. Oba statki stały na rozkołysanych wodach. Szalupy z repatriantami trzeba było wciągać na pokład dźwigiem, bo trudno było osiągnąć z nich drabinki trapowej. Wach-

wszystko mogło się zdarzyć. A „Akademik Knipowicz” już się oddalał. – *Poczekajcie, za-wołam kapitana – krzyknął przerażony. Na naszej szalupie wszyscy płakali ze śmiechu.*

Kapitan Miron Babiak nie dał się nabrać na przedwczesny prima aprilis.

– *Co to za kawały? Kto dorwał się do krótkofalówki? Biednego Janka wzięto na języki. Obiecał zemstę.*

1 kwietnia 1976 r. Janek Chołyst pełnił nocną „psią wartę”. Zaprosił mnie na mostek na kawę. Przyszła pora rewanżu.

– *Widział Pan po prawej burcie zorzę polarną? – zapytał z obojętną twarzą.*

– *O tej porze roku? To raczej niemożliwe.*

– *To niech się Pan przekona.*

Udałem naiwnego i wyszedłem na prawe skrzydło mostka. Postąłem chwilę na deszczu i wicherze. Całe niebo było zaciągnięte chmurami. Po czym wróciłem i powiedziałem:

– *Rzeczywiście. Fantastyczny widok. Pół nieba w ogniu.*

Janek popatrzył na mnie jak na wariata. Na dowcip dał się nabrać steward Leszek Tanaś, który właśnie przyniósł wachtowym nocną porcję serdelków. Czym prędzej wybiegł na zewnątrz mostka. Wrócił bardzo zawiedziony.

– *Gdzie ta zorza?*

Kawał znalazł adresata. Z Jankiem byliśmy kwita.

Zamiast pointy

Minęło 51 lat od pierwszego mojego żartu primaaprilisowego związanego z Antarktydą (to ja, ukrywając się pod pseudonimem, wymyśliłem historię o podwodnym polskim żółwiu, który miał zdobyć biegun południowy od spodu). I oto znalazłem w najpoczytniejszym polskim dzienniku wiadomość, w którą trudno uwierzyć. A brzmiała ona: „Wyprawa pod lód”. Dużymi literami wybito podtytuł: „Takiej wyprawy jeszcze nie było. Amerykanie zbudowali pojazd badawczy, który zamierzają wysłać pod lód antarktyczny”. Wypozażyli go w pięć kamer. Z treści wynikało, że chcą go zanurzyć pod lodowiec szelfowy Rossa, dokładnie tam, gdzie pragnął to uczynić wymyślony przeze mnie inż. mgr Teodor Kwiecień, któremu marzyła się tylko jedna kamera oraz podwodny radar. Projekt amerykańskiego pojazdu przedstawił w 2001 r. jeden z profesorów geologii Uniwersytetu Północnego Illinois pod Chicago. Publikacja nosiła datę 10 stycznia 2012 r. To nie mógł być prima aprilis.

Czy w naszych czasach da się jeszcze fantazjować? ○



skim samolotem. Jego wizyta miała charakter turystyczny.

Pierwszym zawodowym polskim polarnikiem, reprezentującym na biegunie południowym naukę naszego kraju, był Stanisław Rakusa-Suszczewski, dziś członek Polskiej Akademii Nauk.

W 1995 roku do bieguny południowej dotarł Marek Kamiński, który próbował dokonać trawersu Antarktydy na nartach niemal dokładnie taką samą trasą (tylko w odwrotnym kierunku) jaką przedstawił i nakreślił na mapie autor primaaprilisowego wywiadu. Podróżnik z Gdańska nie zdołał pokonać jej samotnie. Ponowił próbę w 1997 r. Tym razem także musiał zawrócić.

Pod koniec 1975 r. autor tych słów został dokumentalistą I Polskiej Wyprawy Mor-

ską na mostku pełnił II oficer, Jan Chołyst, z którym się lubiliśmy. Byłem na pokładzie jednej z wracających szalup, którą dowodził III oficer Ryszard Zapolski. W pewnym momencie miał tak zajęte linami ręce, że dał mi do potrzymywania krótkofalówkę. I wtedy wpadł mi do głowy szatański pomysł. Połączyłem się z Jankiem Chołystem i odbyłem z nim taki dialog:

– „Profesor Siedlecki”? Was wyzywajet „Akademik Knipowicz”.

– *Słucham, tu „Profesor Siedlecki”.*

– *Wy doszczytaliś wasiech członow ekipaża?*

– *Co proszę?*

– *Nu, czy wy policzyli swoju załogę?*

– *Policzyliśmy. A bo co?*

– *A u nas tuć adin Paljak ostaksja.*

Janek zamurowało. W tym rozgardiaszu

CORE

Akumulator z mocą

PROMOCJA
NOWA NIŻSZA CENA



CORE

Akumulator do latarek czołowych z serii TIKKA™ - ZIPKA™

- CORE to czyste środowisko i czysta oszczędność: 1 CORE = 5(7) baterii LR03/AAA
- Kompatybilny z każdą standardową ładowarką USB
- Oprogramowanie OS by Petzl umożliwia personalizowanie działania latarki zgodnie od potrzeb lub rodzaju aktywności



www.petzl.com/CORE



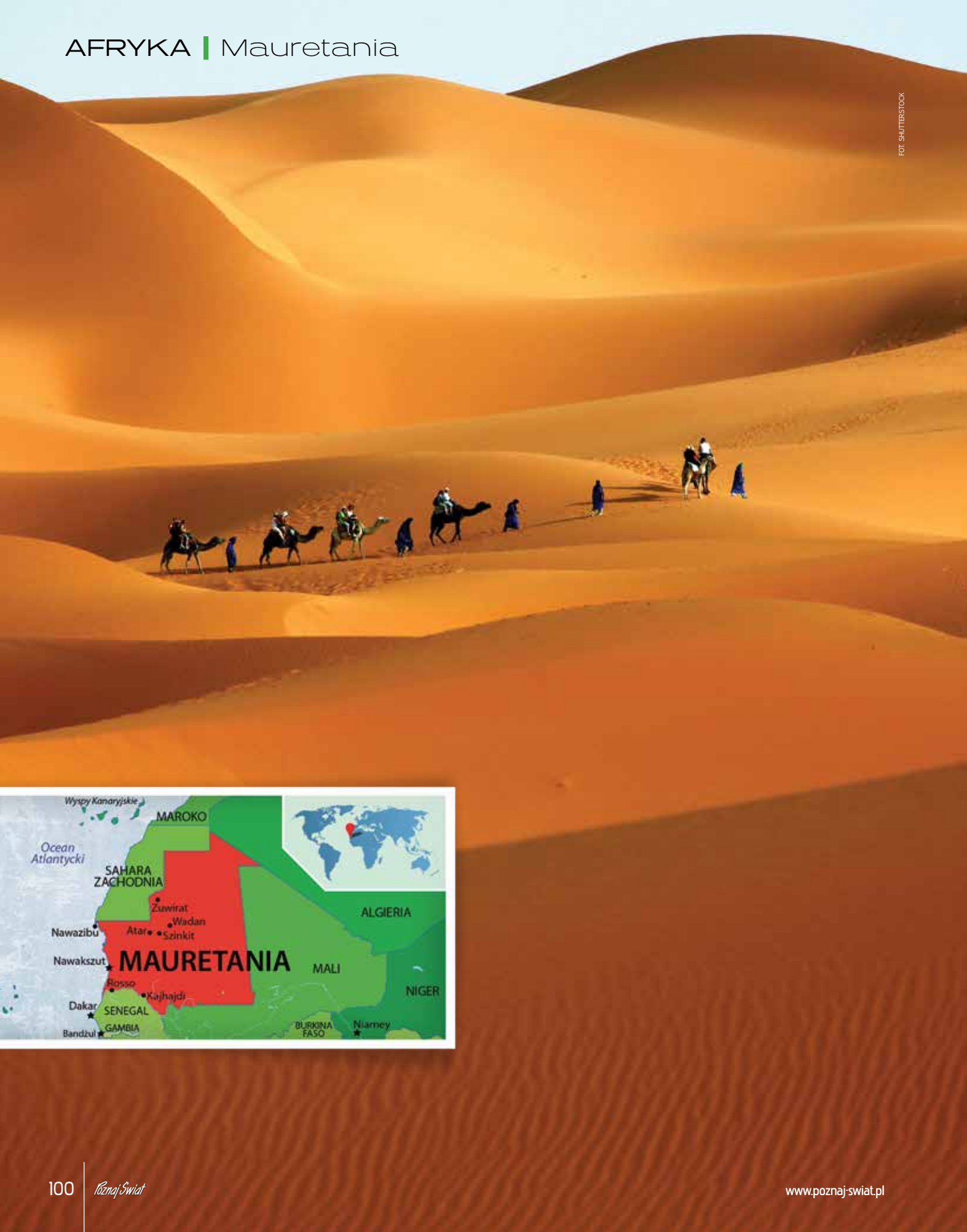
FOT. SHUTTERSTOCK



Jędrzej Czerep

ŚLADY NA PIASKU

Mauretania jest jedną wielką pustynią, która na południu nieśmiało przechodzi w sawannę, a na zachodzie sięga wybrzeża Atlantyku. Mogłoby się wydawać, że nie ma podróżnikom nic do zaoferowania i tak właśnie uważa wiele osób, traktując ją jako tranzyt w drodze do Mali czy Senegalu. Owszem, turystycznym atrakcjom tego kraju daleko do Timbaktu czy Marrakeszu, ale mimo to warto spędzić 30 godzin w jadącym z Casablanki autobusie, by tu przyjechać.



Nawazibu, pierwsze miasto po stronie mauretańskiej, w zasadzie ma niewiele do zaoferowania. Ot, zapuszczone slumsy sporych rozmiarów. Wyrusza stąd jednak słynny pociąg do Zuwiratu, a pod miastem znajdują się „atrakcje” warte zobaczenia.

W płytkich wodach Zatoki Cansado spoczywają dziesiątki wraków porzuconych przez armatorów – od kutrów rybackich po spore transatlantyki. Mauretania, ze względu na trudne do wygegzekowania prawo i przekupstwo urzędników, jest jednym z większych złomowisk statków na świecie. Niektóre jednostki są momentalnie rozbierane na części przez złomiarzy, reszta rdzewieje na plaży lub w oceanie. Ogromny statek „Malika Tanger” stojący na krańcu Przylądka Białego, na którym leży Nawazibu, to iście surrealistyczny widok. Wymalowana na rufie nazwa jednostki i portu macierzystego już dawno pokryła się korozją, jednak sam statek nadal opiera się falom.

Złomiarze tu nie dotrą, Przylądek Biały jest filią parku narodowego Banc d’Arguin. W parku chroni się przybywające na zimę z Europy ptaki wodno-błotne. Pod klifami półwyspu znalazła też schronienie setka mniszek śródziemnomorskich – zagrożonych wyginięciem ssaków morskich z rodziny fok. Mauretańska kolonia mniszek jest jednym z najliczniejszych stanowisk tego gatunku na świecie, mimo to trzeba mieć szczęście, by je spotkać.

NAJDŁUŻSZY POCIĄG ŚWIATA

Za moimi plecami rozlega się głośnie Allahu akbar. Podróżując po krajach islamu, przyzwyczailem się do dźwięku muzułmańskiego wezwania do modlitwy, zazwyczaj jednak niosło się ono gdzieś nad głową, z wysokości minaretu. Teraz słyszę je metr od siebie. Gaszę papierosa i odwracam się od okna, za którym widać oświetloną zachodzącym słońcem, piaszczystą pustynię. Konduktor w tym pociągu najwyraźniej pełni również funkcję muezyna. Kilkunastu mężczyzn wysypuje się na wąski korytarz, klęka w rzędzie, z twarzą zwróconą do kierunku jazdy i zaczyna chwalić Boga. Nie chcę im przeszkadzać, wycofuję się zatem do przedziału.

Pociąg, którym jadę, to chyba najbardziej obskurny i kuriozalny skład, jakim w życiu podróżowałem. Określany jest często mianem najdłuższego pociągu świata. Składa się z jednego wagonu osobowego oraz trzystu towarowych, jadących po wysokiej jakości rudę żelaza do położonych w głębi Sahary kopalni w Zuwiracie. Strategiczna nitka



FOT. SHUTTERSTOCK

CZŁOWIEK W NIEBESKIM TURBANCIE

**Wielbłąd bez Beduina jest dalej wielbłądem.
Beduin bez wielbłąda jest tylko człowiekiem.**



FOT. SHUTTERSTOCK

ZŁOMIARZA PILNIE ZATRUDNIĘ

Wraki statków na Półwyspie Białym, będącym filią parku narodowego Banc d'Arguin.

kolei wiezie to największe bogactwo Mauretanii do nadatlantyckiego Nawazibu. Tam przeladowywane jest na statki i wywożone do Europy, USA czy Japonii. Transport ludzi jest tylko dodatkiem. Pasażerowie, którzy nie zmieszczą się w jedynym, rozklekotanym wagonie osobowym, jadą towarowymi. W tę stronę i tak jest dobrze, bo są one puste.

Gdy pociąg wraca z Zuwiratu, siedzi się na rozgrzanej rudzie, rozsiewającej wszędobyłski pył. To jedyna możliwość dostania się z północnej części wybrzeża w głąb kraju i odwrotnie. Po pustynnych bezdrożach, ciągnących się wzdłuż granicy z Saharą Zachodnią, można przejechać co najwyżej terenowym samochodem, a i to nie zawsze. W grę wchodzi również kwestia bezpieczeństwa. Jakiś czas temu w tych okolicach pojawiali się partyzanci z frontu Polisario, walczącego o niepodległość Sahary Zachodniej. Ponoć nawet zdarzały się napady na pociągi. Wprawdzie obecnie jest już spokojnie, ale te tereny to kompletne pustkowia.

Nie ma co liczyć na pomoc w razie awarii samochodu. Jedyni ludzie tutaj to wędrowni pasterze wielbłądów. Co pewien czas obok torów widać ich obozowiska.

Noc w pociągu jest upiorna. Ciemności rozjaśnia jedynie gazowy palnik, nad którym przygotowywana jest kolacja dla pasażerów – kanapki z mieloną wielbłądźciną. Nagle pociąg zatrzymuje się i wraz z większością pasażerów wysiadam, by na bagażnikach samochodów terenowych dojechać do Ataru – stolicy wyżynno-pustynnego regionu Adrar.

OAZA I OKO

W Atarze jest międzynarodowe lotnisko, na którym raz czy dwa na tydzień lądują samoloty z Francji, ale tylko w sezonie, czyli zimą. Latem spotkanie z cudzoziemcem jest rzadkością. O ile temperatury na płaskowyżu są wówczas w miarę znośne, to na

terenach położonych na skraju pustyni jest potwornie gorąco. Główne „pozaprzrodnicze” atrakcje Adraru – oazy Wadan i Szinkit – przez większą część roku są sennymi, zakurzonymi, spalonymi słońcem miejscami. Sytuacja zmienia się nieco podczas sezonu turystycznego, ale nawet wówczas trudno uwierzyć, że kilkaset lat temu tętniły życiem.

Wadan, opisywany przez Ryszarda Kapuścińskiego w „Hebanie” jako miejsce, w którym diabeł mówi dobranoc, a wydostanie się z niego graniczy z cudem, przez czterysta lat było kwitnącym ośrodkiem handlowym. Założone w połowie XII wieku przez Berberów, położone na szlaku Marrakesz-Timbuktu miasto, stanowiło przystanek dla ciągnących przez Saharę karawan. Handlowano tu niewolnikami, obracano złotem, solą, daktyłami. Znajdowała się tu nawet portugalska faktoria handlowa. Bogactwo sprzyjało rozwojowi nauki. Główną arterią miasta zwano „ulicą 40 uczonych”. Zamieszkiwała ją inteligencja – prawnicy, imamowie, teolodzy. Ich dzieła do dziś znajdują się w prywatnych bibliotekach mieszkańców. Obecnie kamienne stare miasto stoi puste. Nie zachowało się wiele śladów dawnej świetności – meczet, kilka zrujnowanych domów, wysokie mury obronne. Współczesny Wadan to prowincjonalna osada na peryferiach cywilizacji.

Czterdzieści kilometrów dalej leży Kalb ar-Riszat – „Oko Afryki” – osobliwa formacja geologiczna, ni to krater meteorytu, ni to pozostałość po wulkanie. Kompleks wzgórz tworzy kilka różnej wielkości okręgów o wspólnym środku. Zewnętrzny ma blisko 50 km średnicy. Niezwykłość miejsca najlepiej widać z okien samolotu.

MIASTO PIELGRZYMÓW

Mauretania jest oficjalnie republiką islamską. Mimo to obywatele kraju wydają się być niezbyt przywiązani do nakazów szariat. Ramadan jest przestrzegany mniej rygorystycznie niż chociażby w Maroku. Maurowie, których poznajemy, chętnie sięgają po dostępny na czarnym rynku alkohol. Kobiety, choć skromnie ubrane, widoczne są w przestrzeni publicznej. Jednak to tutaj znajduje się jedno z najświętszych miast islamu – Szinkit. Miejscowość, leżąca na skraju największego kompleksu wydm w Mauretanii, podobnie jak Wadan była ważnym ośrodkiem transsaharyjskiego handlu. Mieszkali tu jednak nie tylko kupcy.

W okresie swej świetności Szinkit szczycił się 25 medresami, czyli muzułmańskimi szkołami teologicznymi, oraz 12 meczetami. To tu muzułma-

nie z krajów Maghrebu spotykali się, by wspólnie pielgrzymować do Mekki. Nawiedzeniem Szinkitu, ważnego ośrodka myśli muzułmańskiej, zadawalał się również ci, których nie stać było na odbycie pełnego hadżdż. Pisane przez tutejszych teologów księgi do dziś znajdują się w bibliotekach na terenie kсарu, czyli starego miasta. Świetnie zachowane, kilkusetletnie manuskrypty robią wrażenie nawet na nieświadomych zawartości przybyszach z Europy.

Adrar jest najciekawszym turystycznie regionem Mauretanii. Warto spędzić tu kilka dni, by poznać wszystkie atrakcje. Krajobrazy pustyni i płaskowyżu zachwycają, a tutejsi ludzie są gościnni i przyjaźni. Historyczne miasta uświadamiają, że był czas, kiedy ta część świata cywilizacyjnie stała dużo wyżej niż ówczesna Europa.

ZOBACZYĆ NAWAKSZUT I... WRÓCIĆ

Nasz przewodnik Baba, po zakończeniu umówionej wycieczki po Adrarze, zaprasza nas do siebie, a następnie stwierdza, że skoro jedziemy dalej do Nawakszut, to i on przejedzie się z nami do stolicy. W muzułmańskim świecie spotkałem wielu życzliwych ludzi, ale Baba jest jedyny w swoim rodzaju. I z całych sił stara się umilić nam pobyt w Nawakszut.

Stolica Mauretanii jest nieciekawym miastem. Założona zaledwie pół wieku temu, nadal wygląda jak wielki plac budowy. Pomiędzy zardzewiałymi samochodami wałęsają się wielbłądy, bankomat akceptujący europejskie karty jest jeden, zaś wokół miasta rozłożone są obozowiska nomadów. Jedyny powód, by tu przyjechać leży przy samym oceanie. Targ rybny w Nawakszut uważany jest za jeden z największych w Afryce Zachodniej. Codziennie po południu na piaszczystym wybrzeżu powtarza się ten sam spektakl. Czarnoskórzy rybacy przybijają do brzegu i wyciągają na piasek setki niewielkich, drewnianych, kolorowych łodzi, zwijają sieci, segregują połów. Tak samo od kilkuset lat. Jedyne oznaki XXI wieku to motorowe silniki w łódkach i koszulki rybaków – podrabiany t-shirt FC Barcelona wydaje się być ostatnim krzykiem mody.

Nawakszut jest swego rodzaju pułapką. Powrót stąd do domu wiąże się z horrendalnie wysoką ceną biletu lotniczego. Można jechać dalej – dużo tańsze połączenia z Europą oferuje senegalski Dakar czy gambijskie Bandżul – lub powtórzyć lądową trasę przez Nawazibu i Saharę Zachodnią do Maroka. My musimy wycofać się na północ. Afryka kusi, ale kończy się czas i pieniądze. ○



ROZMOWY MARKA SZPENDOWSKIEGO Z LUDŹMI ZAPRACOWANYMI

Rozmowa z Jerzym Grunwaldem – muzykiem, kompozytorem, niegdyś członkiem zespołów „No To Co” i „En Face”

Marek Szpendowski: Zacznijmy typowo – od notki biograficznej: Jerzy Grunwald...

Jerzy Grunwald: 15 lipca 1410...

Następnie zespół „No To Co”. To był debiut?

Tak, to była ta grupa, która powstała pod koniec lat 60., aczkolwiek wcześniej występowałem w klubach jako młody, dobrze zapowiadający się artysta. I tak zostało (śmiech). Byłem najmłodszy w zespole, miałem zaledwie 15 lat. Czas największej popularności spędziłem więc bardzo spokojnie, gdyż jako niepełnoletni po koncercie grzecznie udawałem się spać. Choć na trasie koncertowej w Związku Radzieckim zerwał mi się film.

Po rozpadzie zespołu niektórzy z Was wyjechali zagranicę. Ty nie wyjechałeś od razu, bo założyłeś grupę En Face.

To były moje ostatnie występy w Polsce. Bardzo pasjonował mnie rock z elementami muzyki harmonicznnej, melodyjnej. I to właśnie chciałem zaprezentować w tym zespole.

Rozmawiając z Tobą nie ucieknij od specyficznej „formy podróżowania”, która dotknęła wielu polskich artystów – od emigracji.

Wyjechałem najpierw do Nowego Jorku, później przenieśliem się do San Diego. To nie był wyjazd dla pieniędzy. Zabrałem plecak, pojechałem na 10 dni i wróciłem po 30 latach. Wyjechałem głównie by się rozwijać, poznać język, otrzeć się o inny świat muzyczny. Po kilku latach przenieśliem się z USA do Szwecji.

To spora różnica odległości i temperatur. Dlaczego akurat Szwecja? Bo w Los Angeles poznałem swoją małżonkę, która pracowała dla Skandynawskich Linii Lotniczych. Skończył jej się kontrakt, była w ciąży i tak rozpocząłem nowy etap mojej kariery muzycznej i towarzyskiej.

Kiedy spotkał się po latach, twoje związki z Polską były dość mocne. Mówię o tym, bo wielu artystów, którzy wyemigrowali, traciło kontakt z krajem na lata. A już na pewno tracili kontakt zawodowy.

Dość często przyjeżdżałem do kraju. Miałem tu studio, nagrywałem z polskimi muzykami. Oczywiście tak było już po stanie wojennym i wszystkich zmianach. Wcześniej przyjazdy były sporadyczne.

Efektownym naszym spotkaniem była Twoja płyta nagrana z wieloma znanymi muzykami m.in. z grupy Toto i Chicago.

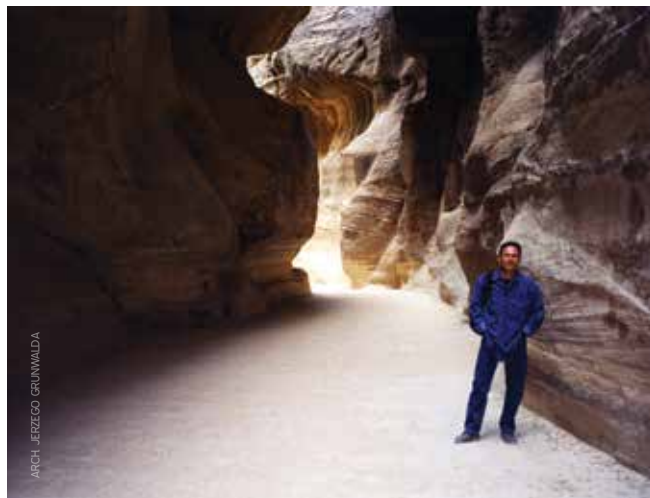
Ten kontakt owocuje do dzisiaj. Mimo że w Polsce nie zauważano twórczości polskich artystów pracujących poza krajem, moja płyta miała bardzo pozytywne recenzje. Ta muzyka miała dużo ciepła, co może być potrzebne we współczesnym, brutalnym świecie. Jednak nieobecni nie mają racji, mało tu pracuję, a co za tym idzie moja twórczość jest mało znana.

Pojechałeś do USA robić karierę na tamtym rynku, a tymczasem stałeś się bardzo popularny w Azji.

Moje płyty są bardzo popularne w Japonii, Singapurze, w Malezji i na Tajwanie. Moja muzyka jest regularnie grana przez Japońskie Linie Lotnicze na pokładach ich samolotów.

Masz darmowy bilet lotniczy?

Nie i nie chcę. Nie przepadam za lataniem, a jeszcze bardziej nie lubię rozgardiaszu na lotnisku. Kiedyś we Francji zapytano mnie, gdzie leczę. Odpowiedziałem po angielsku: To Nice. Z miłym uśmiechem



chem przepuszczono mnie na pokład. Bardzo się zdziwiłem, gdy do samolotu zaczęli wchodzić sami Arabowie. W końcu stewardessa też się zorientowała, że coś jest nie tak i sprawdziła moją kartę pokładową. Okazało się, że skierowano mnie do samolotu lecącego do Tunisu.

Wracasz do Polski, ale nie zadomowiłeś się tu do końca. Wprawdzie Szwecję już opuściłeś, ale za to przenieśliś się do ulubionego przez Szwedów miejsca: Marbelli w Hiszpanii.

Mam tam mieszkanie i spędzam część czasu w Polsce, a część właśnie tam. Obok siebie mam wielu muzyków, mieszka tam między innymi zespół Roxette. To bardzo dobre miejsce, gdzie w ciepło można leczyć wszelkie depresje i gdzie można spędzić emeryturę.

Artyści nie przechodzą na emeryturę.

Ale mogą o niej marzyć. ○

Marek Szpendowski – producent filmowy, ale przede wszystkim właściciel agencji Viva Art, który organizował m.in. koncerty Luciano Pavarottiego, Michaela Jacksona czy zespołu The Rolling Stones. Dużo podróżuje i często zdarza mu się poznawać świat właśnie podczas delegacji, pospiesznie.

TAO TAO®

TaoTao - Harmonia Smaków



**SOS SOJOWY
O OBNIŻONEJ ZAWARTOŚCI SOLI
TaoTao**

do sałatek i lekkich dań
warzywnych, idealny dla osób
na diecie niskosodowej.



**SOS SOJOWY
TaoTao**
do przyprawiania gotowych
potraw i sałatek,
idealny do drobiu i cielęciny.



**SOS SOJOWO
- GRZYBOWY
TaoTao**
wzbogacony grzybową nutą,
idealny do zup
oraz dań mięsno-grzybowych.



**SOS SOJOWY
CIEMNY TaoTao**
stworzony do gotowania
i marynowania wołowiny,
wieprzowiny oraz do
wszelkich potraw
duszonych i pieczonych.

Orientalne inspiracje
**SOSY SOJOWE
TaoTao**



www.TaoTao.pl

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu, po-

dobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

Sajgonki to polska nazwa wietnamskich Nem rán lub Chả giò. Ta zakąska kiedyś była typowo noworoczną potrawą, ale szybko przeniosła się do codziennego menu Wietnamczyków.

Podstawą sajgonek jest papier ryżowy. Wypełnienie natomiast może się zmieniać w zależności od nastroju i inwencji gospodyni. Jajko wykorzystywane do łączenia składników nadzienia można podzielić – do nadzienia dać samo żółtko, a białkiem skleić krawędzie papieru ryżowego, by całość nie rozpadła się podczas smażenia. Potrawy w Wietnamie, również sajgonki, smaży się zazwyczaj na oleju orzechowym, co nadaje im niepowtarzalny, wyrazisty smak.

SAJGONKI *à la Poznaj Świat*

Wszystkie składniki sajgonek wrzucić do dużego naczynia i połączyć ze sobą dokładnie mieszając. Płatek papieru ryżowego namoczyć w letniej wodzie przez ok. 10 sekund, nałożyć niewielką porcję farszu, a następnie zawinąć (jak na zdjęciach obok). Smażyć na dobrze rozgrzanym, głębokim oleju do zarumienienia się sajgonek. Składniki sosu wymieszać. Do sajgonek można podawać również gotowe sosy.

SKŁADNIKI (dla 4-6 osób):

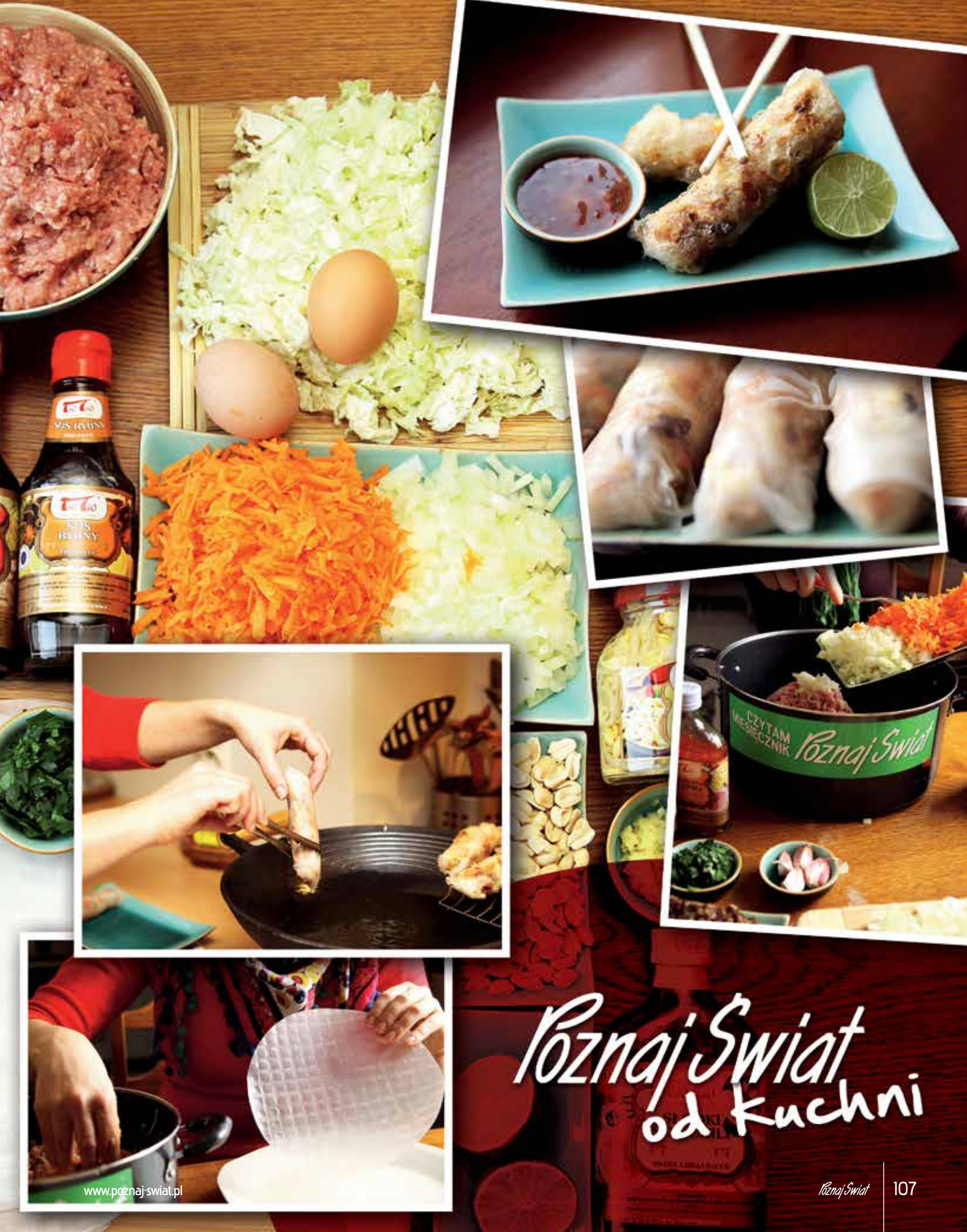
czas przygotowania: 55 minut

80 dag mięsa mielonego wieprzowo-wołowego, 2 starte marchewki, 2 drobno posiekane cebule, mała główka posiekanej kapusty pekińskiej, słoik kiełków soi, 100 g makaronu ryżowego (należy zalać go wrzątkiem i po 3 minutach odcedzić), 30 g ugotowanych i pokrojonych grzybów mun, garść posiekanych orzeszków ziemnych niesolonych, 2 łyżki natki posiekanej pietruszki, łyżka startego imbiru, 2 łyżki sosu sojowego, 2 łyżki sosu rybnego, 2 jajka, papier ryżowy do zawijania

SOS:

3 łyżki octu ryżowego, 1 łyżka sosu sojowego, 1 łyżka sosu rybnego, limonka, 2 ząbki czosnku, łyżka rozgniecionych orzeszków ziemnych niesolonych, łyżka cukru pudru, pół szklanki wody





Poznaj Świat od kuchni

Z WIZYTA U Kiwi

Arkadiusz Braniewski





FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

SKARBIEC DZIEDZICTWA

Muzeum Te Papa otwarte zostało w 1998 roku. Odwiedza je rocznie milion osób.



FOT. A. KADUSZ BRANIEWSKI

Maoryska legenda głosi, że dawno temu bóg lasu spytał wszystkie ptaki, który z nich chciałby zejść na najniższe piętro lasu, aby oczyścić je z robaków.

Żaden nie był chętny, ale w końcu zgłosił się kiwi. W czasie gdy polował na robaki, jego skrzydła zanikły, nogi stały się silne, dziób się wydłużył i wykształciły się wąsy, aby kiwi mógł łatwiej poruszać się po ciemnym lesie.

Większość turystów omija stolicę Nowej Zelandii albo traktuje ją jedynie jako miejsce przesiadki w drodze na Wyspę Południową. Ci, którzy postanowią zostać w Wellington trochę dłużej, przekonają się jednak, że miasto oferuje wiele atrakcji.

MUZEUM WSZYSTKIEGO

Pierwsze kroki w Wellington kierujemy do Te Papa Tongarewa, nowoczesnego muzeum narodowego. Te Papa, zwane „Naszym Miejscem”, to wszechstronna przestrzeń kulturalna będąca również galerią sztuki, miejscem wystaw i wydarzeń ze świata artystycznego. Na 36 tysiącach metrów kwadratowych zgromadzone zostały przykłady sztuki maoryskiej i wysp Pacyfiku, ekspozycje poświęcone historii Nowej Zelandii, w tym losom polskich emigrantów, oraz lokalnej faunie i florze. Częścią ekspozycji jest również największa na świecie, pół-tonowa kałamarnica (*mesonychoteuthis hamiltoni*) zanurzona w formalinie. Ten dziesięciometrowy okaz został schwytany przez nowozelandzkiego rybaka w 2007 r. u wybrzeży Antarktydy.



TAŃCZĄCY PARLAMENT

Miejszem wartym odwiedzenia jest również nowozelandzki parlament. Kompleks składa się z trzech budowli połączonych przejściami. Głównym budynkiem jest Parliament House z salą obrad i gabinetem marszałka. Poprzednia, drewniana siedziba parlamentu spłonęła w 1907 r. i konieczna była budowa nowej. Rozpoczęcie prac w 1914 r. zbiegło się z wybuchem pierwszej wojny światowej. Brak materiałów budowlanych znacznie opóźnił budowę. Parlamentarzyści zdecydowali się obradować w nieukończonym Parliament House. Planowanego drugiego piętra nigdy nie wybudowano, a oficjalnego otwarcia budynku dokonała królowa Elżbieta II dopiero w 1995 r. Najbardziej charakterystyczną częścią kompleksu jest Beehive, czyli Ul, powstały w latach 1970. Oryginalna bryła nie pozostawiła wyboru przy nadawaniu nazwy. W dziesięciopiętrowym Ulu znajdują się gabinety ministrów oraz premiera. Drugim budynkiem przylegającym do Parliament House jest

neogotycka biblioteka parlamentarna, ukończona w 1899 r. To najstarszy spośród trzech budynków. Jednak najbardziej niezwykłą częścią kompleksu jest piwnica Parliament House, której fundamenty na wypadek trzęsienia ziemi wyposażono w 417 ogromnych gumowych łożysk. Takie środki ostrożności są tu w pełni uzasadnione, bo mieszkańcy Wellington doświadczają do kilkunastu trzęsień ziemi rocznie. Gdy ziemia się poruszy, ten stary ceglany budynek nie powinien się zawalić. Można tu obejrzeć film z symulacją wstrząsów i „tańczącym” Parliament House.

ODŚWIEŻANIE NOSA

Zwiedzając stolicę, nie można pominąć wspaniałego ogrodu botanicznego. Choć odległość z centrum wydaje się niewielka, najlepiej pokonać ją zabytkową kolejką elektryczną Cable Car. Wellington jest częściowo położone na wzgórzach i stanowi nie lada wyzwanie dla pieszych. Pozornie mały dystans

WYSOKA IZBA, NAJWYŻSZA WŁADZA

Budynek parlamentu zwany Ulem liczy 72 m wysokości. Najwyższy gabinet zajmuje premier (obecnie John Key).



FOT. ARKADIUSZ BRANEWSKI

OGRÓD W OGRODZIE

W Nowej Zelandii, która zachwyca bogactwem i różnorodnością flory, może dziwić potrzeba budowania ogrodów botanicznych.

może okazać się wspinaczką po licznych schodach. Po kilkuminutowym wjeździe oglądamy panoramę miasta. W Cable Car Museum z filmu dowiadujemy się, że mieszkańcy miasta posiadają też prywatne kolejki. Ułatwia to życie pośród wzgórz, szczególnie osobom starszym. Wchodzących do

ogrodu witają słowa Erazma z Rotterdamu: „Ten ogród jest dla przyjemności nacieszenia oka, odświeżenia nosa i odnowienia ducha.” Spacer po stołecznym ogrodzie to okazja do zobaczenia wielu endemicznych roślin i kwiatów, nieznanych w Europie. Zachwycają nie tylko widoki, ale też nowe zapachy i odgłosy typowych dla Nowej Zelandii ptaków. Częścią ogrodu botanicznego ciesząc się największym zainteresowaniem jest rosarium. Poza różami, w szklarniach można zobaczyć srebrną paproć, która jest symbolem Nowej Zelandii. W ogrodzie botanicznym znajduje się też planetarium. Warto je odwiedzić, gdyż gwiazdozbiory obserwowane z półkuli południowej wyglądają całkiem inaczej, niż te znane z europejskiego nieba.

MY PRECIOUSSS...
Na gości wchodzących do Jaskini Wety czyha woskowy Gollum.



FOT. ARKADIUSZ BRANEWSKI

USZY HOBBITA ZA 50 DOLARÓW

W drodze do filmowej dzielnicy Wellington mijamy ludzi stojących w kolejkach po sushi, które jest tu tańsze od chleba. Dzielni-



FOT. ARKADIUSZ BRANIEWSKI

komputerowymi efektami specjalnymi, w pracowniach Miramaru powstają rekwizyty, kostiumy oraz choreografie do filmów. Popularność ekranizacji prozy Tolkiena sprawiła, że fani zaczęli zaglądać przez ogrodzenie terenu firmy Weta, aby dowiedzieć się czegoś więcej o kulisach produkcji. W odpowiedzi na to zainteresowanie, w 2008 r. powstała Weta Cave, minimuzeum i sklep. Weta Cave gromadzi rekwizyty, stroje oraz figury znanych postaci filmowych, np. Golluma. Do kupienia są pamiątki, książki, albumy, ale też uszy hobbita (\$50 NZ), takie same jak te użyte w filmie. Zobaczyć i nabyć można także broń wykorzystaną w „Dziewiątej dzielnicy”. Będąc w Weta Cave, koniecznie trzeba zobaczyć film o historii firmy założonej w 1987 r. przez Richarda Taylora i Tanię Rodger, pokazujący zaplecze przemysłu filmowego oraz przebieg prac nad rekwizytami i efektami.

ca Miramar aspiruje do bycia nowozelandzkim Hollywood. Przemysł filmowy w „Wellywood”, zaistniał dzięki Peterowi Jacksonowi i firmie Weta Workshop robiącej scenografię oraz efekty specjalne. Weta Digital, oddział odpowiedzialny za efekty komputerowe, to jedna z największych firm od efektów na świecie. Zatrudnia 2500 osób, a na koncie ma 123 filmy, w tym takie superprodukcje, jak: trylogia „Władca Pierścieni”, „Avatar”, „King Kong”, „Dystrykt 9”, „Opowieści z Narni” czy najnowsze dzieło – „Przygody Tintina”. Poza

RYCZĄCE CZTERDZIESTKI

W Wellington wcale nie trzeba zabawić długo, żeby przekonać się dlaczego miasto nazywane jest Wietrznym Welly. Na ulicach często widać latające parasole, przewrócone skutery i rozbite szklane drzwi. Wiatr bywa tu na tyle silny, że może porwać przechodnia. Mieszkańcy żartują, że tylko u nich deszcz pada do góry. Nie ma w tym wiele przesady. Wellington leży w strefie ryczących czterdziestek, która powoduje tak porywiste zachodnie wiatry.



FOT. SHUTTERSTOCK

BIZNES JAK WAKACJE

Ciekawe czy w biurkach dzielnicy biznesowej, położonych nad zatoką, z pięknym widokiem na marinę, łatwo się skoncentrować na pracy?



FOT. ARKADIUSZ BRANEWSKI

DUMA ZOO

Tuatara to endemiczny gatunek gada zwanego po polsku łupkozębem. Groziło mu wyginięcie, zanim w 2005 roku odtworzono jego populację w Karori Wildlife Sanctuary w Wellington.

WŚRÓD ŻYWYCH SYMBOLI

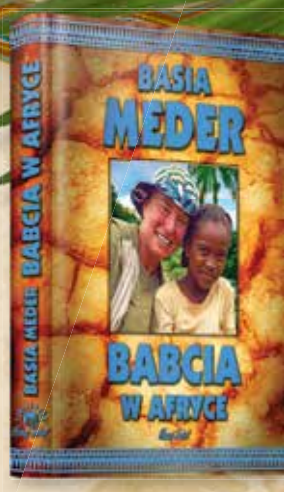
Do ostatniej chwili nie możemy zdecydować się gdzie pojechać, aby zobaczyć ptaka kiwi. Najbardziej ekscytujące wydaje się podglądanie go w naturalnym środowisku. Jednak szanse spotkania go są niewielkie. Populacja kiwi została mocno przetzebiona odkąd w Nowej Zelandii pojawiły się takie szkodniki jak possum. Również psy i koty są zagrożeniem dla tego nietola. Wprowadzie wellingtoński rezerwat Zealandia (Karori Wildlife Sanctuary) oferuje nocne wycieczki, podczas których z przewodnikiem szuka się kiwi, ale nam wydaje się to niezbyt pewnym sposobem. Postanawiamy jechać do zoo. Codziennie o 13:15 występuje tam Taahi, jednonogi ptak kiwi. W półmroku, pracownicy zoo wyjmują Tahiego z jego budki i wabią go robakami i warzywami, żeby jak najdłużej został z widownią. Kiwi osiągają do pół metra wzrostu i 3,5 kg wagi. Zanim zobaczyliśmy Tahiego, mogliśmy dotknąć wypchanego okazu, aby poczuć, że jego upierzenie jest miękkie niczym futro. Taahi ma tylko jedną nogę, bo wpadł w pułapkę zastawio-

ną na possumy. Zaopiekowało się nim zoo. Dostał nawet protezę, ale ją odrzucił i nauczył się skakać na jednej nodze. Dziś Taahi, po maorysku „Jeden”, to największa atrakcja zoo. W swoim naturalnym środowisku kiwi nie mają łatwego życia. Aby to unikalne stworzenie mogło przetrwać, ludzie podbierają jajka wysiadującym je samcom(!). Gdy kiwi się wykluje, jest karmione i po osiągnięciu wagi 1 kg, zwracane naturze. Gdyby nie ten system pomocy, wiek dorosły osiągnęłoby tylko 5 procent ptaków.

Na pokazie widzieliśmy też tuatarę. To gad będący endemicznym stworzeniem Nowej Zelandii i stanowiący jeden z symboli kraju. Stworzenie to oddycha raz na godzinę, je raz na miesiąc. Tuatary dojrzewają w wieku około 15 lat, rozmnażają się co 3-4 lata, a dożywają nawet 100. Dotknąć tuatary mogły tylko małe dzieci i obcokrajowcy z najdalszych zakątków świata. A że Polska leży na końcu tegoż... Tuatara ma miękką, aksamitną w dotyku skórę, choć wydaje się być pokryta pancerzem. ○



**KSIĄŻKI
POD PATRONATEM
„POZNAJ ŚWIAT”**



Basia Meder
BABCIA W AFRYCE
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł

**PODRÓŻNICZA
KSIĄŻKA ROKU
TRAVELER
2010**
PRZYZNANA PRZEZ
NATIONAL
GEOGRAPHIC



Wojciech Cejrowski
**PODRÓŻNIK WC
WYDANIE II POPRAWIONE**
format: 145 x 205 mm
cena 43 zł



Basia Meder
**BABCIA W PUSTYNI
I W PUSZCZY**
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł



Antonio Halik
**180 000 KILOMETRÓW
PRZYGODY**
format: 145 x 205 mm
cena: 35 zł



Antonio Halik
**JEEP. MOJA WIELKA
PRZYGODA**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



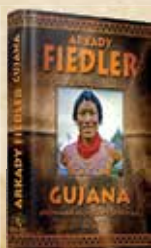
Antonio Halik
**Z KAMERĄ I STRZELBĄ
PRZEZ MATO GROSSO**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



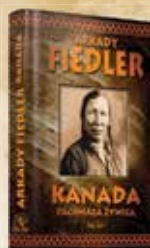
Wojciech Cejrowski
**GRINGO WŚRÓD
DZIKICH PLEMION**
format: 145 x 205 mm
cena: 43 zł, 49 zł (zapachowa)



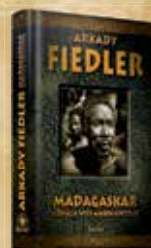
Arkady Fiedler
DYWIZJON 303
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł, 15 zł (opr. miękka)



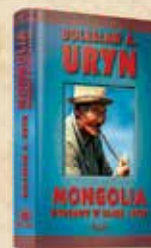
Arkady Fiedler
**GUJANA. SPOTKAŁEM
SZCZĘŚLIWYCH INDIAN**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



Arkady Fiedler
**KANADA
PACHNĄCA ŻYWICĄ**
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



Arkady Fiedler
**MADAGASKAR. GORĄCA
WIEŚ AMBINANITelo**
format: 145 x 205 mm
cena: 49 zł



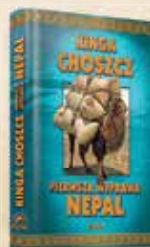
Bolesław A. Uryn
**MONGOLIA. WYPRAWA
W TAJĘ I STĘP**
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł



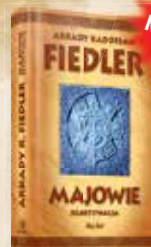
Kinga Choszcz
**PROWADZIE NAS LOS.
KINGA & CHOPIN**
format: 145 x 205 mm
cena: 47 zł



Kinga Choszcz
MOJA AFRYKA
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



Kinga Choszcz
**PIERWSZA WYPRAWA.
NEPAL**
format: 145 x 205 mm
cena: 41 zł



Arkady Radosław Fiedler
**MAJOWIE.
REAKTYWACJA**
format: 145 x 205 mm
cena: 36 zł



Stefan Czerniecki
DALEJ OD BUENOS
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

Wydawnictwo „Bernardinum”, ul. Bpa Dominika 11, 83-130 Pelplin
tel.: 58 531-64-81, 58 536-17-57, fax 58 536-17-26, kom. 662-014-683
e-mail: zakupy@bernardinum.com.pl • www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl

Wiosenny trekking

Za oknami aura już coraz cieplejsza, ale jeszcze zdradliwa. Wybierając się w kwietniowe weekendy w góry czy nawet na dłuższy spacer, musimy przygotować się na zmienne warunki atmosferyczne.

W zacienionych miejscach może leżeć jeszcze śnieg, a podmuchy wiatru nieraz przypomną nam o zimie. Bądźmy na to wszystko przygotowani. Wiosna to również dobry czas na przetestowanie różnego rodzaju sprzętu przed wakacyjnymi wyprawami. Warto zatem sprawdzić naszą nową odzież i akcesoria w terenie.



SIGG NATURE WIDE 1L

Butelki Sigg są produkowane od ponad 100 lat w Szwajcarii. Przydatne podczas rekreacji i uprawiania różnego rodzaju sportów. Szczelne, lekkie i wytrzymałe. Gwarantują znakomite warunki przechowywania napojów, zachowując ich pierwotny smak. Otwór (48 mm) umożliwia łatwy dostęp do wnętrza butelki w celu dokładnego umycia. Kompatybilne z ustnikami ABT, KBT i standardowym korkiem. Butelki nie zawierają ftalanów i BPA (bisfenol A). Dostępne izolujące pokrowce oraz inne akcesoria.

Cena: 94 zł
www.makanu.com.pl

BERGHAUS VELUM JACKET

Najlepiej oddychająca z 3-warstwowych kurtek górskich GORE-TEX® Active Shell. Zaprojektowana dla osób szukających maksymalnej oddychalności i technicznego kroju kurtki. Posiada zintegrowany kaptur dopasowany do kasku, wzmocnienia na ramionach, 2 zewnętrzne kieszenie z odpornym na wodę zamkiem YKK oraz regulowane mankiety.



Cena: 999 zł
www.berghaus.pl

MOUNTVAL WASH&CARE

Płyn do prania odzieży i tkanin wodoodpornych i specjalistycznych. Zachowuje oryginalną wodoodporność. Produkt nadaje się również do czyszczenia nylonowych namiotów, plecaków czy ożaglowania.



Cena: 28 zł
www.kaps.com.pl



HUSKY GOZA 30L

Jest bardzo lekki – waży zaledwie 1075g. Pojemność sprawia, że jest perfekcyjnym sprzętem na mniej wymagające i krótsze wyprawy. Ale nie brakuje mu praktycznych uchwytów na czekan, kije trekkingowe czy inne wyposażenie. System nośny to anatomicznie ukształtowany panel z wypełnieniem EVA z dobrym systemem wentylacji. Ma również oddzielną kieszeń na przodzie i pokrowiec przeciwdeszczowy.

Cena: 368 zł
www.huskypolska.pl



Cena: 75 zł
www.tervel.pl

TERVEL OPTILINE LIGHT KR

Bardzo lekka i przewiewna koszulka męska z krótkim rękawem na okres wiosenno-letni. Posiada strefy wentylacyjne w miejscach zwiększonego wydalania wilgoci, którą szybko i skutecznie odprowadza na zewnątrz.

Produkt wykonany jest z przędzy Prolen Siltex zmodyfikowanej środkiem antybakteryjnym opartym na jonach biogenego srebra (Ag+). Środek ten redukuje nieprzyjemny zapach, utrzymuje biologiczną równowagę skóry i zapewnia świeżość wyrobów. Koszulkę poleca Henryk Szost – reprezentant Polski w maratonie na IO w Londynie.



Cena: 250 zł
www.paso.pl

PASO W-987

Wykonany jest z wodoodpornej tkaniny poliestrowej. Składa się z 3 rozłącznych części: plecaka dużego (zasadniczego), plecaka małego i chlebaka stanowiącego górną część przykrywy. Worek plecaka podzielony jest na 3 poziome komory. Boczne części plecaka dużego zaopatrzone są w taśmy, służące do regulacji objętości plecaka i przenoszenia dodatkowych elementów.

Cena: 1299 zł
www.olympus.pl



OLYMPUS TG-820

Nowość w serii wyjątkowo mocnych aparatów TG. Model ten wyposażono w 12 MPix matrycę BSI CMOS i 5-krotny zoom optyczny. Jest odporny na upadek z 2 m wodoszczelny przy zanurzeniu do 10 m. Model ten ma możliwość filmowania w jakości FULL HD i robienia zdjęć w 3D.



Cena: 429 zł
www.polana.pl

MONTANE STRETCH TERRA ALPINE

Spodnie przeznaczone zarówno do wspinaczki, jak i trekkingu.

Uszyte z odpornej na warunki pogodowe tkaniny GRANITE STRETCH (nylon+spandex). Posiada wyprofilowane kolana, zapięcie niekolidujące z pasem biodrowym plecaka czy uprzężą, rozcięcia wentylacyjne oraz rozpinające się na dole nogawki.

HANNAH DELANO

Kurtka softshellowa z membraną wyposażona w kaptur, kieszeń na piersi i duże kieszenie z przodu. Posiada również technicznie skrojony rękaw oraz wewnętrzne mankiety zapewniające wygodę i utrzymanie ciepła nadgarstków i dłoni.

Cena: 399 zł
www.hannah.pl



Cena: 169 zł
www.polana.pl

GERBER BEAR GRYLLS SCOUT

Nóż, który jest efektem współpracy amerykańskiej firmy Gerber i Beara Gryllsa – światowej sławy eksperta survivalu. Jest lekki (68 g), wykonany z najwyższej jakości materiałów, oraz wygodny w użyciu. Kolory ułatwiają odnalezienie go w trawie, a nawet płytkiej wodzie. Nóż przetestowano w najbardziej ekstremalnych warunkach.

Cena: 349 zł
www.alpinus.pl



MOUNTVAL WATERPROOFING REFRESHER

Środek do impregnacji, czyli odnawiania i wzmacniania bariery przeciwko przenikaniu wilgoci. Produkt nie wpływa na kolor tkanin. Jest przeznaczony do utrwalania wodoodporności kurtek, namiotów i wszelkich innych tkanin wodoodpornych.

Cena: 30 zł
www.kaps.com.pl



ALPINUS FLORIANUS

Lekkie półbuty trekkingowe wykonane z zamsku dostępne w damskiej i męskiej wersji. Podeszwa Vibram Tubava zapewnia doskonałą przyczepność do podłoża i charakteryzuje się dużą odpornością na ścieranie. Buty te są doskonałe na górskie wycieczki, jak również na co dzień w mieście.



NESSI RUNNING

To bezszwowa koszulka zapewniająca długą świeżość poprzez skuteczne działanie antybakteryjne. Jest lekka, delikatna i bardzo wygodna. Dzięki specjalnemu splotowi koszulka jest wyjątkowo trwała i wytrzymała, a jonizacja, która występuje wewnątrz przędzy, nie wymywa się i pozostaje aktywna po wielokrotnym praniu. Doskonale nadaje się do uprawiania sportów, jak i do codziennego użytku.



Cena: 64 zł
www.e-nessi.pl

LOAP ST. MORITZ

Jeśli jesteś zmarzluchem ten śpiwór zapewni Tobie komfort nawet przy ujemnych temperaturach (od -3 do -10° C). Ponadto waży 1750 g przy wymiarach 220 x 80 x 55 cm. Jest zatem obowiązkowym ekwipunkiem podczas wiosennego biwakowania.



Cena: 269 zł
www.sportstyl.pl

MACADAMIA TRAVEL SET

By zaoszczędzić cenne miejsce w bagażu, stworzono specjalne opakowanie podróżne. Zestaw składa się z 5 produktów, szczotki oraz kosmetyczki w małym rozmiarze. Kosmetyki Macadamia Natural Oil to kompozycja olejków z orzechów Macadamia znalezionych w południowej części Pacyfiku i nasion argan z Maroka.



Cena: 125 zł
www.macadamiahair.pl

Cena: 1150 zł
www.huskypolska.pl

HUSKY FIGHTER

Idealny na wyprawy czy wymagający trekking 3-4 osobowy namiot. Czterokanałowy system stelażu (zewnątrzny) gwarantuje pełną stabilność konstrukcji nawet w bardzo wietrzne dni. Posiada 2 wejścia, kołnierze śnieżne i zestaw aluminiowych śledzi. Waży ok. 4 kg.







Pamiętali o ogrodach

Na początku 1935 roku prezydent Warszawy Stefan Starzyński przedstawił plan rozbudowy i modernizacji stolicy. Celem było zwiększenie zainteresowania opinii publicznej rozwojem urbanistycznym Warszawy. Za rządów Starzyńskiego powstały nowe osiedla mieszkaniowe, przebudowano zabytkowe obiekty, wybrukowano wiele nowych ulic, a także zmeliorowano liczne dzielnice. Za jego sprawą posadzono wiele drzew, zazieleniono puste powierzchnie, otwarto między innymi park Sowińskiego, park Dreszera i park w Forcie Legionów.

Na zdjęciu uczniowie podczas obchodów szkolnego święta wiosny. Warszawa 15 kwietnia 1935 roku.

W najbliższych numerach...



POLSKA



SYBERIA



AUSTRALIA

Poznaj Świat

Redaktor naczelny
Dariusz Małkowski

dariusz.malkowski@poznaj-swiat.pl · tel. 535 444 980

Zastępca redaktora naczelnego

Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl · tel. 501 602 401

Sekretarz redakcji

Julia Michalczevska
redakcja@poznaj-swiat.pl · tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy

Wojciech Albiński, Ryszard Badowski,
Józef Baran, Agnieszka Bartusiak, Paweł Chara,
Grzegorz Kapla, Romuald Koperski, Robert Mazurek,
Dariusz Rosiak, Marek Szpendowski

Grafika DTP & Prepress

Artur Bury

Adres redakcji

80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo

PROBIER sp. z o.o. sp.k.
80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

Koordynator do spraw wydawniczych

Beata Pernak
tel. 583 508 464

PRENUMERATA KRAJOWA

numer rachunku 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA

BRE Bank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

Reklama

Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Olga Kołakowska
tel. 501 050 624

Maria Rzeźniczek
tel. 600 969 297

Agata Królikowska
tel. 609 028 798

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów
i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie odpowiada
za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń.

www.logostour.pl

801 011 864

 *Logos Tour*
BIURO TURYSTYKI ZNP

Podróże na 7 kontynentów z Logos Tour

Europa



Azja



Afryka



Australia



Ameryka Płn.



Ameryka Płd.



Antarktyda



Sprawdź naszą ofertę
ponad **150** tras
oferujących niezapomniane
przeżycia

HISZPANIA
(Gibraltar – Andaluzja)

ISLANDIA
(+ opcja Grenlandia)

PORTUGALIA - HISZPANIA

CYPR

LITWA – ŁOTWA
– ESTONIA – ROSJA

FINLANDIA
(Laponia)

WYSPY GRECKIE

MALTA

SKANDYNAWIA

BALKANY

NORWEGIA

WIELKA BRYTANIA – IRLANDIA

PODRÓŻE DLA KONESERÓW:

USA - NOWY JORK

JAPONIA

EKWADOR

+ Wyspy Galapagos



Na majówkę do Czech



Planując ciekawą wycieczkę nie musimy pokonywać tysięcy kilometrów – tuż za przysłowiową miedzą znajdziemy miejsca, których urok zdobędzie nasze serca: ponad dwieście bajkowych zamków i pałaców, romantyczne miasta skalne, słynne ośrodki górskie, rezerwy przyrody, tysiące kilometrów oznaczonych tras pieszych i rowerowych. Oprócz tego na turystów w Czechach czekają ciekawe imprezy kulturalne i oczywiście tradycyjna kuchnia.

www.czechtourism.com